

Peggy Moreland

Będziesz moja

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zręda. Tak nazywali Woodrowa Tannera ludzie uprzejmi. Mniej uprzejmi używali ostrzejszych, bardziej obrazowych słów, jakich raczej nie wypowiada się w obecności kobiety albo pastora. Ale Woodrowa nie obchodziło, co ludzie o nim mówią. Robił, co chciał, i do diabła z każdym, komu to się nie podoba.

Był właścicielem siedmiuset pięćdziesięciu akrów doskonałej ziemi na południowy zachód od Tanner's Crossing i mieszkał w domu z bali, wybudowanym w samym środku posiadłości. A wybudował dom właśnie w takim miejscu, bo chciał żyć jak najdalej od sąsiadów. Mieszkał sam, tylko ze smutną jak blues suczką, która uparła się, by sypiać w nogach jego łóżka. I nie zamierzał tego zmieniać. Nienawidził wielkich miast i korków na drogach. Gdy włókł się jak żółw za jakimś traktorem szosą prowadzącą do Dallas, wszystko się w nim gotowało.

Gdyby w tej chwili jego brat, Ash, znajdował się w zasięgu ręki, z największą przyjemnością podbiłby mu oko albo nawet rozkwaślił nos. Co za pomysł kazać mu jechać i szukać wiatru w polu! Woodrow bardzo niechętnie zgodził się spełnić jego prośbę. Wyklócał się i wykręcał, bo

przecież byli też inni bracia. Jednak Ash twierdził, że Reese nie może się oderwać od swojej chirurgicznej praktyki, a Rory był poza miastem i polował na sezonowe towary do sieci swoich sklepów. Co do Whita, Ash nie podał żadnego wytłumaczenia, ale Woodrow nawet się nie pofatygował, by o nie zapytać. Whit był tylko przyrodnim bratem i to uwalniało go od większości rodzinnych obowiązków. Woodrow bardzo mu tego w tej chwili zazdrościł.

Tak więc koniec końców to on pojechał do Dallas.

Ale to jeszcze nie znaczyło, że mu się to podoba.

Wreszcie zobaczył zjazd. Skręcił w prawo i, uwolniony od korków autostrady, trochę się uspokoił. Teraz jeszcze dwa zakręty w prawo i już zatrzymywał się na parkingu przed nowoczesnym pięciopiętrowym budynkiem. Wzruszył ramionami na widok tego metalu i szkła. Osobiście wołał naturalne materiały. Kamień. Drewno. Cegły też były w porządku. Ale wszystko inne uważał za degradowanie krajobrazu, obrazę dla oczu, coś, co lepiej by pasowało w miejscu takim jak... na przykład Mars.

W pogarszającym się z minuty na minutę humorze wysiadł z pikapa, wszedł do budynku, sprawdził tablicę informacyjną i pojechał na piąte piętro. Znalazł drzwi z tabliczką „Elizabeth Montgomery, pediatra” i otworzył je. Nie poświęcając ani chwili na rozejrzenie się po pomieszczeniu, poszedł prosto do okienka w recepcji i zastukał w szybę.

Kobieta po drugiej stronie okienka podniosła wzrok

i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Woodrow był przyzwyczajony do takich reakcji. Mężczyźni z rodu Tannerów byli znani ze swojej postury i na ogół wywoływali poruszenie wśród płci pięknej.

- Słucham? - powiedziała kobieta.
- Chcę się zobaczyć z doktor Montgomery.

Kobieta pochyliła się i spojrzała za niego, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś mniejszego, kto się za nim chowa.

- Jest pan umówiony?
- Nie. To sprawa osobista.
- Pani doktor się pana spodziewa?
- Nie.
- Pana godność?
- Woodrow Tanner.

Kobieta poszła w głąb korytarza i weszła do jednego z gabinetów. Woodrow czekał z ponurą miną, bębniąc palcami w kontuar.

Chwilę później znów pojawiła się na korytarzu i podeszła do okienka.

- Przykro mi - powiedziała - ale pani doktor Montgomery ma dziś wypełniony grafik wizyt. Jeśli pan chce, mogę pana zapisać na inny dzień.

Jednak on nie zamierzał pozostać w Dallas ani minuty dłużej, niż to było konieczne.

- O której kończycie pracę?

Kobieta uśmiechnęła się promiennie. Czyżby się spodziewała, że Woodrow zaprosi ją na randkę?

- O czwartej.
- Zaczekam - powiedział.

Skulony na krześle, odpowiednim raczej dla któregoś z siedmiu krasnoludków niż dla rosnącego mężczyzny, Woodrow niecierpliwie przeglądał wyłożone dla pacjentów pisma. Ale znalazł jedynie takie jak „Dobra Gospodyni”, „Pracująca Matka”, czy „Poradnik Domowy”. Nic, co miałyby chociaż luźny związek z ostrogami albo siodełkiem. Zrezygnowany, przygotował się na godziny nudy. Oparł głowę o ścianę, wyciągnął nogi i zamknął oczy. Chwilę później już spał.

- Zadzwoń do laboratorium i poproś o wyniki małego Cartera. Obiecali, że będą w poniedziałek po południu.

Woodrow gwałtownie uniósł głowę i zamrugał. W drzwiach recepcji stała jakaś kobieta. To chyba ta lekarka, pomyślał. W pełni rozbudzony zmrużył oczy i uważnie się jej przyjrzał.

Nie wyglądała na lekarkę. Bardziej na niezamężną ciotkę. Nosiła okulary w rogowej oprawce i ciasny blond kokczek. Ale w pewnej chwili odwróciła się do niego tyłem i wtedy zobaczył wdzięczny karczek. Poczuł nagłą potrzebę dotknięcia go ustami. Krótkie kędziorki wiły się po porcelanowo gładkiej skórze, a między włosami a kołnierzykiem lekarskiego fartucha widniała malutka różowa plamka.

Znamię? Nerwy? Cokolwiek to było, właśnie tam chciałyby przycisnąć wargi.

- Podczas mojej nieobecności będzie mnie zastępował doktor Silsby - powiedziała lekarka i Woodrow znów zaczął uważnie słuchać. - Oczywiście biorę pager.

Woodrow wyprostował się. Czyżby wyjeżdżała z miasta? Spojrzał na recepcjonistkę, która też patrzyła na niego ukradkiem. Uznał, że trzeba stąd wyjść, zanim ta kobieta zniweczy jego szansę na rozmowę z lekarką. Wyszedł z poczekalni i stanął przy windzie.

Chwilę później drzwi się otworzyły. Lekarka szła w jego stronę. Ze spuszczoną głową szukała czegoś w torbie.

Woodrow nacisnął przycisk „dół” i drzwi windy się otworzyły. Przytrzymał je i wszedł do kabiny.

- Jedzie pani na dół? - spytał.

Spojrzała na niego wystraszona, bo do tej pory go nie zauważyła.

- Eee... tak. Dziękuję.

- Parter?

- Tak, proszę - powiedziała i utkwiała spojrzenie w światelkach nad drzwiami, informującymi o przebytej drodze.

Woodrow nacisnął przycisk parteru i stanął obok niej. Odsunęła się o krok. Ostrożna, pomyślał. I pewnie nie bez racji, skoro mieszka w wielkim mieście. Gdy kabina powoli zjeżdżała, powiew powietrza przyniósł mu jej zapach. Czysty, sterylny zapach, złagodzony jednak nutą czegoś kwiatowego, bardziej kobiecego.

Gdy dojechali na dół, otworzył drzwi i przepuścił ją.

- Dziękuję- powiedziała, unikając jego wzroku, i wyszła na korytarz.

Dogonił ją i zrównał z nią krok.

- Czy pani doktor Elizabeth Montgomery?

Zacisnęła palce na pasku torebki, ale nie spojrzała na niego ani nie zwolniła.

- Tak.

Byli już w drzwiach i Woodrow je dla niej otworzył. Znow mu podziękowała i szybko go wyminęła.

Sfrustrowany, popędził za nią.

- Muszę z panią porozmawiać.

- Przykro mi, ale bardzo się śpieszę.

Dotarła do mercedesa i zaczęła otwierać drzwi. Zauważył, że jej ręka drży.

- Nie jestem bandytą - powiedział w nadziei, że ją uspokoi. - Chciałem tylko zadać pani kilka pytań.

Udało jej się otworzyć drzwi auta i wsiąść.

- Mówiłam już, że się śpieszę. A teraz, jeśli pan wybaczysz...

Woodrow przytrzymał drzwi, żeby nie mogła mu ich zatrzasać przed nosem.

- Chodzi o pani siostrę - powiedział dobitnie.

Spojrzała na niego, a jej oczy za szklami okularów stały się czujne.

- Zna pan moją siostrę?

- Nie. Nie osobiście.

Była teraz blada, z całej siły zaciskała palce na kluczykach.

- Nie widziałam jej od lat. Ona... Czy ona wysłała pana do mnie? Znow ma kłopoty?

Woodrow wciągnął głęboki haust powietrza, niepewny, jak dalej prowadzić rozmowę.

- Nie. Nie nazwałbym tego kłopotami.

- Jeżeli chce pieniędzy - powiedziała zimno - może jej pan powiedzieć, żeby sama przyjechała i poprosiła.

- Nie, proszę pani. - Woodrow z minuty na minutę czuł się coraz bardziej zakłopotany. - Ona nie potrzebuje pieniędzy.

- Więc czego chce? - parsknęła Elizabeth. - Na ogół tylko po to się ze mną kontaktuje.

- Ona... eee... - Zmarszczył czoło, próbując znaleźć jakiś łagodny sposób przekazania jej złych wiadomości. Jednak nic mu nie przychodziło do głowy prócz brutalnej prawdy. - Pani siostra nie żyje.

Zbladła.

- Nie żyje? Moja siostra nie żyje?!

- Tak. Umarła ponad miesiąc temu.

Przycisnęła palce do ust.

- Nie żyje - szepnęła. Broda jej drżała, w oczach zbierały się łzy.

- Tak. Widzi pani, Star.

Elizabeth poderwała głowę do góry.

- Star? Moja siostra ma na imię Renee. Renee Montgomery. - Z ulgą chwyciła kierownicę. - Och, dzięki Bogu! Przez chwilę myślałam, że Renee... - Przerwała w pół zdania. - Przepraszam - dodała i włożyła kluczyk do sta-

cyjki. - Najwyraźniej pan się pomylił. A teraz naprawdę muszę już jechać.

Znów chciała zatrzaskać drzwi, ale Woodrow je przytrzymał.

- Proszę zaczekać. - Wyciągnął z kieszeni zdjęcie, które dostał od brata. - Czy to pani siostra?

Raz tylko szybko spojrzała na fotografię i odepchnęła jego rękę.

- Naprawdę pan się myli. Moja siostra ma na imię Renee, nie Star.

Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie, ale zaraz wyrwała mu zdjęcie i przyjrzała mu się, trzymając na odległość wyciągniętej ręki. Woodrow widział, jak jej twarz zastyga, palce zaczynają drżeć.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Skąd pan to ma?

- Od Maggie Dean, teraz Maggie Tanner, bo wyszła za mojego brata Asha. Pracowała ze Star.

- Nie Star - parsknęła Elizabeth i znów spojrzała na zdjęcie. - Renee. Renee Montgomery.

Woodrow przykucnął, by mieć oczy na wysokości jej oczu.

- Proszę posłuchać - powiedział spokojnie. - Wiem, że to dla pani szok, i przykro mi, że musiałem przekazać pani taką wiadomość, ale to nie wszystko.

- Nie wszystko? - powtórzyła, a potem głucho się roześmiała. - Co jeszcze mógłby mi pan powiedzieć prócz tego, że moja siostra nie żyje?

Woodrow zakołysał się na obcasach. Musi postępować ostrożnie. Chodzi o szczęście Asha i Maggie.

- Widzi pani... - zaczął - Star, to znaczy Renee - poprawił się - a więc ona... miała dziecko.

- Miała dziecko?

- Tak. Dziewczynkę.

- I co się z nią stało?

- Jest u mojego brata i Maggie. Renee przed śmiercią wymusiła na Maggie przysięgę, że odda dziewczynkę jej ojcu.

- Ash jest ojcem córki mojej siostry?

Woodrow głęboko zaczerpnął powietrza. Było coraz trudniej.

- Nie. Nie Ash. Ojciec Asha. Nasz ojciec - wyjaśnił.

- Buck Tanner. To on jest ojcem dziecka.

Elizabeth przycisnęła rękę do skroni, jakby chciała powstrzymać migrenę.

- Więc dlaczego dziecko jest u pańskiego brata, a nie u ojca?

- Bo ojciec nie żyje. Atak serca. Umarł kilka dni po Renee.

Elizabeth oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

- To jakiś koszmar - szepnęła.

- Mówię prawdę. Przysięgam.

Elizabeth siedziała nieruchomo, bez słowa. Wiedząc, że musi powiedzieć wszystko do końca, Woodrow kontynuował:

- Ciągłe jeszcze załatwiamy formalności. Ash wynajął

prywatnego detektywa, by odnaleźć rodzinę Renee, i w ten sposób dotarł do pani. Ash i Maggie chcą adoptować dziecko. Dlatego tu jestem. Żeby uzyskać pani zgodę.

- Nie! - wykrzyknęła Elizabeth. - Nie mogę teraz decydować. To za dużo jak na jedną chwilę. Za szybko. Potrzebuję czasu. - Zakryła twarz rękami. - Och, Boże...

Woodrow się wyprostował.

- Zostanę w mieście do jutra. - Wyrzebał z kieszeni stary rachunek za benzynę i nabazgrał coś na odwrocie. - Proszę. To mój telefon komórkowy. Proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie pani gotowa do rozmowy.

Nadal otumaniona po wiadomości o śmierci siostry, Elizabeth stała przy kuchennym oknie, ciasno obejmując się w pasie. Ted Scott, jej narzeczony, siedział przy stole. Nie widziała jego twarzy, ale wyczuwała dezaprobatę. Przygniatała jej ramiona jak ciężki płaszcz, przydając jeszcze smutku.

- Wiem, że jesteś poruszona - powiedział, zmuszając się do okazania cierpliwości. - Mogę to zrozumieć. Ale byłoby po prostu śmieszne, gdybyśmy mieli z tego powodu zrezygnować z wyjazdu po tych wszystkich planach, jakie robiliśmy. Poza tym nie musisz zajmować się pogrzebem ani niczym takim. To wszystko już zostało załatwione.

Na wspomnienie pogrzebu w oczach Elizabeth zabłyśły łzy. Straciła siostrę i nawet nie była na pogrzebie. Mało tego, nawet nie wiedziała, gdzie Renee została pochowana ani kto się tym zajął.

Och, tak bardzo chciało jej się płakać. Wypłakać żal i ból. Zaciśnięta powieki. Pragnęła, by Ted podszedł i ją przytulił. Pocieszył. By chociaż raz odpowiedział na jej emocjonalne potrzeby, zamiast zmuszać ją, by je tłumiła.

Gdy nadal siedział przy stole, odepchnęła od siebie uczucie rozczarowania i pokręciła głową.

- To nie ma znaczenia. Ale nie mogę wyjechać. Trzeba podjąć decyzję.

- W sprawie dziecka?

Skinęła głową. Nadal nie mogła uwierzyć, że Renee, sama ledwo wyrosła z dzieciństwa, została matką.

A ona jest ciotką.

- Chyba nie zamierzasz go adoptować? - powiedział Ted ze zdumieniem. - Przecież może być niedorozwinięte albo zdeformowane! Sama mi mówiłaś, że Renee zażywała narkotyki.

Jego okrutne słowa otworzyły na nowo stare rany. Powoli odwróciła się do narzeczonego, jej oczy ciskały błyskawice.

- Uważasz, że to miałyby dla mnie jakieś znaczenie? Ted, ja mam siostrzenicę. Rozumiesz, siostrzenicę! To dziecko stanowi jedyną rodzinę, jaka mi pozostała na świecie. Nie zamierzam zrzekać się prawa do niej ani udawać, że nie istnieje.

Skruszony, wstał i objął ją.

- Przepraszam, Elizabeth... - szepnął w jej włosy. - Nie zastanowiłem się. Oczywiście, że czujesz się odpowiedzialna za to dziecko. To naturalne. Ale nie musisz

podejmować nieprzemyślanych decyzji. To nie byłoby rozsądne. Teraz jesteś w szoku. Tydzień poza domem pomoże ci zebrać myśli. Da ci czas na pogodzenie się z utratą siostry, będziesz mogła spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy.

Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi, przywarła do niego, rozpaczliwie szukając pociechy i zrozumienia. Ale nic nie poczuła. Ani ciepła, ani zrozumienia.

Zniechęcona, pokręciła głową.

- Ted, nie mogę jechać. Nie teraz.

Odsunął się tak gwałtownie, że się zachwiała.

- Doskonale. - Zdjął marynarkę z krzesła. - Ale jeżeli ci się wydaje, że ja zostanę i będę cię trzymał za rączkę, gdy będziesz płakała za siostrą, której nie widziałaś od lat, to bardzo się mylisz. Ja jadę do Europy z tobą albo i bez ciebie.

- Więc zabierz ze sobą to! - Z oczami palącymi od łez Elizabeth zerwała pierścionek zaręczynowy z palca i podała mu.

Spojrzał na pierścionek, potem na nią. Oczy miał zimne. Wziął pierścionek, włożył do kieszeni i ruszył do drzwi.

Elizabeth z ciężkim westchnieniem zasunęła zasuwkę i ukryła twarz w rękach.

- Tak - przytaknął Woodrow ponuro na pytanie Asha.
- Nadal jestem w Dallas. Ale nie będę długo czekał.
- Rozmawiałeś z nią?

Woodrow zmarszczył czoło i odwrócił się do okna. Prawie siódma wieczorem, a na ulicach roi się od ludzi i samochodów. Dlaczego ludzie chcą tu mieszkać i uczestniczyć w tym wyścigu szczurów?

- Tak. Ale niewiele osiągnąłem.

- Czy będzie z nami walczyła o opiekę nad dzieckiem?

- Nie wiem. Powiedziała, że nie jest w stanie decydować w tej chwili. Potrzebuje czasu na przemyślenie wszystkiego.

- To mnie wcale nie dziwi - powiedział ponuro Ash.

- Na pewno przeżyła szok, dowiadując się, że jej siostra zmarła i zostawiła maleńkie dziecko.

Rzeczywiście, Woodrow pamiętał wyraz twarzy Elizabeth. Ale czy widział również rozpacz? Nie. Przynajmniej nie musiał pocieszać rozhisteryzowanej kobiety.

- Tak, była zaszokowana - przyznał.

- Więc kiedy się z nią znów zobaczysz?

- Teraz piłka jest na jej boisku. Podałem jej numer mojej komórki.

- I będziesz tak siedział i czekał na jej telefon?

- A co, do diabła, chcesz, żebym zrobił? - parsknął niecierpliwie Woodrow. - Mam przyłożyć jej rewolwer do głowy i zażądać, żeby podpisała zrzeczenie się praw do dziecka, byście mogli bawić się w tatę i mamę? - Natychmiast uzmysłowił sobie, jak okrutne były te słowa. Zdażył już się przekonać, że jego brat i bratowa świata nie widzą poza tym dzieckiem. - Przepraszam - powiedział ze znu-

zeniem. - Jestem w złym nastroju. Wiesz, jak nienawidzę dużych miast.

- Wiem, i tym bardziej jestem ci wdzięczny za to, co dla nas robisz.

- Zupełnie jakbyś mi zostawił jakiś wybór - mruknął Woodrow.

- Przywieź ją do nas.

Woodrow przycisnął telefon do ucha, pewny, że źle zrozumiał.

- Co?

- Przywieź siostrę Star na ranczo. Na pewno boi się oddać dziecko ludziom, którzy są jej całkowicie obcy. Przywieź ją i niech nas pozna. Niech się przekona, jacy jesteśmy zwyczajni.

- Wy jesteście zwyczajni? - Woodrow się roześmiał.
- Bracie, w rodzinie Tannerów nikt nie jest zwyczajny. Idziemy od skandalu do skandalu, i nawet nie nadążamy między nimi złapać oddechu.

Elizabeth nerwowo miętosiła w kieszeni kawałek papieru. Na odwrocie był zapisany numer Woodrowa Tannera. Powiedział, żeby do niego zadzwoniła, gdy będzie gotowa do rozmowy. Ale chyba bardziej niż na rozmowie zależało mu na tym, by jak najszybciej podjęła decyzję w sprawie opieki nad dzieckiem. Niestety, od kiedy dowiedziała się o śmierci siostry, nie była w stanie podejmować żadnych decyzji.

Jednak miała pytania. Setki pytań. Jak Renee umarła?

Czy była wtedy sama? W jakim wieku jest dziecko? Czy jest podobne do Renee? Dlaczego ojciec Woodrowa nie ożenił się z nią? Gdzie Renee mieszkała? Gdzie pracowała? Gdzie jest pochowana? Czy nigdy nie mówiła, że ma siostrę? Czy dlatego rodzina Tannerów musiała wynająć prywatnego detektywa, żeby ją odnaleźć?

Wyjęła kartkę z kieszeni. On zna odpowiedzi na moje pytania, powiedziała sobie i szybko wybrała numer.

- Słucham.

Aż podskoczyła, słysząc to szorstkie powitanie.

- Pan Tanner? - spytała niepewnie.

- Tak.

- Eee... mówi Elizabeth Montgomery.

- Tak, wiem. Mam taki fikuśny telefon, który identyfikuje dzwoniącego. Podaje nawet godzinę. Jest pierwsza trzydzieści trzy w nocy na wypadek, gdyby pani się nad tym zastanawiała.

- Och... Bardzo pana przepraszam. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Zadzwoń do pana rano.

- Nic się nie stało. Nie spałem.

- Och... - Zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. - A więc, panie Tanner...

- Woodrow. Tak mam na imię.

- Tak... No więc, trochę myślałam... Woodrow, o tym, co mi powiedziałeś. O opiece nad dzieckiem - uściśliła.

- I mam nadzieję, że możesz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

- Masz przypadkiem zaparzoną kawę?

Zaskoczona, przerwała wędrówkę po pokoju.

- Słucham?

- Kawa. No, wiesz, ten czarny płyn.

- Ja... nie. Dlaczego?

- Więc nastaw. Po paru filiżankach lepiej mi się myśli.

- Chcesz do mnie przyjść?

- Już tu jestem.

- Jesteś tu?

- Tak. Możesz mnie wpuścić?

Elizabeth podbiegła do drzwi i otworzyła je. Woodrow był już w połowie podjazdu. Szedł z telefonem przyciśniętym do ucha. Zaskoczyła ją jego postura. Pamiętała, że to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ale teraz wydawał się jej jeszcze wyższy i potężniejszy. A szedł krokiem przypominającym sposób chodzenia Johna Wayne'a, co jeszcze bardziej potęgowało niesamowitą aurę, jaką rozciągał.

- Pomachaj - nakazał.

Spojrzała ponad jego ramieniem i zobaczyła sąsiadkę, panią Gladstone, wyglądającą przez szparę w zasłonach. Zmuszając się do uśmiechu, pomachała jej ręką.

- Jeszcze patrzy? - spytał Woodrow.

Pani Gladstone właśnie szarpnięciem zasunęła zasłony do końca.

- Nie, już odeszła.

- Bardzo dobrze.

Woodrow doszedł do drzwi, schował telefon do kiesze-

ni, potem również jej wyjął telefon z ręki, wyłączył go i oddał.

- Chyba już tego nie potrzebujemy - powiedział.

Elizabeth zarumieniła się z zażenowania i schowała telefon do kieszeni szlafroka.

- Chyba nie.

- Zaprosisz mnie do środka?

- Tak, p-proszę - wyjąkała, coraz bardziej czerwona, i odstąpiła na bok, żeby mógł wejść.

- Ładne mieszkanie.

- Dziękuję.

- A teraz, co do kawy...

Szła za nim, zastanawiając się, czy nie popełniła błędu, zapraszając go do środka. W końcu w ogóle go nie знаła. Mógł być, na przykład, seryjnym mordercą.

- Panie Tanner...

Doszli do kuchni.

- Woodrow.

- Niech będzie. Woodrow, czy mogę zobaczyć twoje prawo jazdy?

Spojrzał na nią z zastanowieniem, ale wyciągnął portfel z kieszeni.

- Jeśli niepokoisz się o swoje bezpieczeństwo, to chyba jest już na to za późno - zauważył.

Szybko obejrzała dokument. Woodrow Jackson Tanner. Adres: RR4, Tanner's Crossing, Teksas. Spojrzała jeszcze na zdjęcie, porównała je z oryginałem.

- Na tym zdjęciu wcale nie jesteś do siebie podobny.

Skrzywił się i wyrwał jej portfel z ręki.

- Jest bardzo stare. Przez te lata zmieniłem się.

Rozbawiło ją jego zażenowanie.

- Chciałam powiedzieć, że wyglądasz na nim... bardziej przyjacielsko.

Rzucił jej ponure spojrzenie, odsunął krzesło od stołu i usiadł.

- Zrobisz w końcu tę kawę?

- Tak, oczywiście. - Zakrzętnęła się przy ekspresie, ale od czasu do czasu spoglądała na niego przez ramię, obawiając się, że obraziła go swoją uwagą. - Przepraszam za to, co powiedziałam o zdjęciu.

- Chciałaś mnie o coś zapytać - mruknął cierpko.

- Tak.

- Więc pytaj.

Włączyła ekspres i usiadła przy stole naprzeciwko swojego gościa.

- Gdzie Renee mieszkała?

- Nie wiesz?

- Nie. Od pięciu lat nie miałam z nią kontaktu.

Widziała, że chciałby ją wypytać o powody, ale się powstrzymał.

- W Killeen.

- Killeen - powtórzyła zdziwiona, że Renee mieszkała tylko o trzy godziny jazdy od Dallas. - Mówiłeś, że jej nie znałeś.

- To prawda. Nigdy o niej nie słyszałem, dopóki Maggie nie pojawiła się u nas z jej dzieckiem.

- Którego ojcem był twój ojciec?
- Tak - mruknął niechętnie.
- Ale nie ożenił się z Renee.
- To nie było w jego stylu - parsknął.
- Mówisz to tak, jakby twój ojciec już wcześniej był uwikłany w... nieślubne ojcostwo.
- Najwyraźniej zdarzało mu się to częściej, niż było mi wiadomo.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co takiego Renee widziała w mężczyźnie, który mógłby być jej ojcem. Kawa już się zaparzyła, więc napełniła dwie filiżanki; jedną podała Woodrowowi, a potem usiadła i objęła swoją filiżankę rękami, bo chciała czuć jej ciepło.

- Jak umarła?
- Podczas porodu. Nie znam szczegółów. Maggie pewnie mogłaby ci to dokładnie wyjaśnić.
- Maggie... - powtórzyła Elizabeth. - Przyjaciółka Renee. Mówiłeś, że jest żoną twojego brata?
- Tak. Niedawno się pobrali. Kilka dni temu. Ash zatrudnił ją do opieki nad dzieckiem, i zakochali się w sobie.
- Zakochali się? - spytała ze zdziwieniem.
- Tak myślę. Jeżeli w ogóle coś takiego istnieje. Pasują do siebie. I oboje mają bzika na punkcie dziecka. Do diabła! - wykrzyknął. - Pojedź do nich i sama zobacz.
- Co takiego?
- Jedź ze mną do Tanner's Crossing. Zobacz dziecko. Poznaj Asha i Maggie, i resztę moich braci.

Myśl o poznaniu przeszłości siostry przeraziła ją. Jaka

kobietą stała się Renee? Czy dziecko jest do niej podobne?
I czy ona sama będzie w stanie oddać siostrzenicę, gdy
już ją zobaczy?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Muszę się spakować.

ROZDZIAŁ DRUGI

Widząc, jak Elizabeth siedzi z głową opartą o zagłówek i z zamkniętymi oczami, można by mieć wrażenie, że przespała całą drogę do Tanner's Crossing. Ale ona nie spała. Świadczyły o tym napięte rysy twarzy i ręce mocno splecione na kolanach. Przez chwilę chciał jej zaproponować, by przesiadła się za kierownicę, żeby przynajmniej on mógł się przespać. Po dwudziestu czterech godzinach bez snu chętnie by odpoczął. Ale gdy przyjrzał jej się uważnie, zrezygnował. Ta kobieta była chuda jak szyna kolejowa i wydawała się tak słaba jak nowo narodzone cielę. Pewnie nie miałyby siły prowadzić pikapa.

Gdy zatrzymał się przed swoim domem, przestała udawać, że śpi.

- Już dojechaliśmy? - spytała.

- Tak. Do mojego domu - dodał.

Zaalarmowana, rozejrzała się.

- Myślałam, że jedziemy do twojego brata!

Woodrow machnął ręką w kierunku okna.

- Jeszcze jest noc. Myślałem, że tu przenocujemy, a potem zawiozę cię na ich ranczo. - Nie czekając na odpowiedź, wyskoczył z samochodu, z westchnieniem

przeciagnał się i obszedł go, by pomóc jej wysiąść. Ale gdy otworzył drzwi od strony pasażera, zauważył, że Elizabeth wpatruje się ze strachem w ciemny dom.

- Jakież problemy? - spytał.

- Jestem wdzięczna za troskę - powiedziała, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. - Ale nie jestem zmęczona. Czy nie moglibyśmy od razu pojechać do twojego brata?

- I obudzić go, zanim się porządnie wyśpi? - Woodrow pokręcił głową i podał jej rękę. - Zaufaj mi. Lepiej tego nie robić.

Elizabeth spojrzała niepewnie na ciemny dom i pozwoliła pomóc sobie przy wysiadaniu.

- Dlaczego?

- Bo gdy się go niespodziewanie obudzi, ma manieri niedźwiedzia grizzly. - Wskazał ręką drzwi. - Kiedyś, podczas spędu bydła, Rory i ja obudziliśmy go, kiedy spał jak zabity i, zanim zdążyliśmy się spostrzec, już celował do nas ze śrutówki.

Elizabeth gwałtownie się zatrzymała.

- Chciał do was strzelać? - spytała ze zdumieniem.

- Nie czekaliśmy, żeby się przekonać. Uciekliśmy tak szybko, że Ash jeszcze przez tydzień otrząpywał się z kurzu.

Otworzył drzwi i przepuścił Elizabeth.

- Kontakt jest po lewej - poinstruował ją.

Macając szorstko heblowaną ścianę w poszukiwaniu kontaktu, Elizabeth zastanawiała się, co za diabeł ją pod-

kusił do tej podróży. A skoro już pojechała, powinna była przynajmniej wziąć swój samochód. Gdyby tak zrobiła, teraz poszukałaby sobie jakiegoś przyzwoitego motelu zamiast szukać kontaktu na ścianie w domu obcego mężczyzny i martwić się o swoje bezpieczeństwo.

Ganiąc się za tak nietypową dla siebie impulsywną decyzję, wreszcie znalazła kontakt i zapaliła światło. Zobaczyła duży pokój z ogromnym kamiennym kominkiem naprzeciwko drzwi. Na palenisku przygotowano już drewno do podpalenia. Przed kominkiem leżał chodnik. Po lewej stronie znajdowała się niewielka kuchnia, a po prawej zamknięte drzwi. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że jest to ciepły, przytulny dom, co w pewnym stopniu uśmierzyło jej obawy.

- Możesz spać tutaj - powiedział Woodrow, otwierając zamknięte drzwi. Zapalił światło i położył walizkę na wielkim łożu, zajmującym większość pokoju.

Elizabeth zatrzymała się w drzwiach. Widząc porozrzucone rzeczy Woodrowa, uznała, że to jego sypialnia.

- A ty gdzie będziesz spał? - spytała.

- Na kanapie. Jeżeli martwisz się o higienę, powiem ci, że pościel jest czysta. Osobiście ją zmieniłem przed wyjazdem do Dallas.

Nerwowo cofnęła się o krok. Jak może spać w łóżku obcego mężczyzny?

- Nie musisz mi odstępować swojego pokoju. Chętnie prześpię się na kanapie.

- Moja macocha chyba przewróciłaby się w grobie.

- Pokręcił głową. - Nie, szanowna pani. Goście są ważniejsi niż moja wygoda. Tak nas uczyła mama Lee.

Odwinął koc w jaskrawą kratę.

- Łazienka jest tutaj - wskazał uchylone drzwi za sobą. - Czyste ręczniki znajdziesz w szafce obok prysznic. Jeżeli rano obudzisz się wcześniej niż ja, wszystko co potrzeba do zaparzenia kawy, jest w szafce nad maszynką. Dobranoc - dodał jeszcze i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Elizabeth patrzyła na nie jeszcze przez chwilę, zanim wyjąkała:

- Dobranoc.

Woodrow zaczął się rozbierać, ale nagle znieruchomiał. Zwykle sypiał nago, jednak dziś, mając gościa, chyba zostanie w szortach. Nie był specjalnie skromny, ale pomyślał, że jeśli Elizabeth wstanie pierwsza i wyjdzie z sypialni, by zaparzyć kawę, dostanie ataku serca, widząc go takim, jak go Pan Bóg stworzył.

Nagle usłyszał skrobanie do drzwi. Zaklął pod nosem. Na śmierć zapomniał o psie. Uchylił drzwi, ledwo na tyle, by Blue mogła się prześliznąć. Potem położył się. Suka żałośnie zaskomlała i szturchnęła go mokrym nosem w ramię.

- Przykro mi, psinko - mruknął. - Nie zmieścimy się oboje na kanapie. - Machnął ręką w kierunku dywanika przed kominkiem. - Ty dzisiaj śpisz tam.

Blue ułożyła się na dywaniku. Raz zaszczekała, by dać

do zrozumienia swojemu panu, że taki układ jej się nie podoba, a potem położyła łeb na łapach. Nie minęła minuta, a oboje już spali.

Elizabeth leżała z oczami szeroko otwartymi, dla uspokojenia starała się oddychać równo i głęboko. Ale to nie lęk przed mężczyzną za drzwiami nie pozwalał jej zasnąć.

To był żal.

Renee...

Chociaż łzy paliły pod powiekami, nie mogła się rozpłakać. Ale tak bardzo tego chciała. Chciała, by cały ten żal spłynął ze łzami. Chciała płakać dopóty, dopóki nie zostanie jej ani jedna łza, nie opuści jej rozpacz i nie zniknie całe opanowanie, jakie sobie narzuciła lata temu.

Renee...

Miała przed oczami swoją młodszą siostrę. Jasne loczki, które z taką przyjemnością czesała i związywała kokardami. Oczy błękitne jak niebo, mające mistyczną moc rozjaśniania przestrzeni i zmiękczenia najtwardszych serc. Klasycznie piękne rysy twarzy, których Elizabeth tak bardzo jej zazdrościła.

Gdzie popełniłam błąd? Co mogłam zrobić inaczej? Dlaczego ciągle uciekała? Od czego tak uciekała?

Ale ciemny pokój nie dawał odpowiedzi na pytania, które Elizabeth zadawała sobie od tylu lat.

Wreszcie zmęczona uciekła się do techniki, jaką doradziła jej terapeutka. Wyobraziła sobie spokojną łąkę, przeciętą cicho szemrzącym strumykiem, zieloną trawę, obło-

czki płynące nad głową... Rozluźniła się, zamknęła oczy. Spała.

Mrożący krew w żyłach krzyk sprawił, że Woodrow zerwał się na równe nogi. Zamrugał raz, drugi, i przypomniał sobie o Elizabeth. Skoczył do drzwi, szarpnął je i zapalił światło.

Elizabeth, całkowicie ubrana, siedziała wciśnięta w wezgłowie łóżka, kolana miała przyciśnięte do piersi, rękami zasłaniała twarz.

Blue leżała na swoim miejscu, w nogach łóżka.

- Blue, do diabła! - Chwycił psa za fałdę skóry na karku i ściągnął na podłogę. - Wyjdź - rozkazał.

Blue, z ogonem między nogami, wyczołgała się z pokoju.

- To tylko mój pies - wyjaśnił Woodrow.

Elizabeth z ulgą odetchnęła.

- Myślałam... - Umilkła. Szybko spojrzała w bok, na policzki wypłynął jej krwisty rumieniec.

Woodrow spojrzał w dół i zaklął. Zapomniał, że ma na sobie tylko bokserki. Ale nie będzie przepraszał. Przecież ze snu wyrwał go jej krzyk i przybiegł tu prosto z kanapy.

- Dobrze, że mam na sobie przynajmniej szorty - mruknął, wracając do swego pokoju. - Na ogół sypiam nago.

Elizabeth nawet nie próbowała znów zasnąć. Mało nie umarła ze strachu, gdy pies wskoczył na łóżko, ale otwo-

rzyć oczy i zobaczyć Woodrowa, nie mającego na sobie nic prócz...

Wstała i poszła do łazienki. Starannie zamknęła drzwi na zasuwkę, pochyliła się nad umywalką i spryskała rozpaloną twarz zimną wodą. Ale to nie pomogło przepędzić obrazu niemal nagiego Woodrowa.

Widziała go ciągle. Był taki męski. Te szerokie barki, muskularna pierś... Mięśnie prężące się na ramionach... Silne ręce, długie nogi...

„Na ogół sypiam nago”.

Jęknęła, przypominając sobie jego słowa, i przycisnęła ręcznik do twarzy. Przecież jest dorosłą kobietą, na miłość boską! Męska anatomia nie ma dla niej tajemnic. Widziała setki rozebranych mężczyzn podczas stażu w szpitalu. A z Tedem żyła ponad dwa lata.

Zacisnęła ręce na brzegu umywalki i przyjrzała się w lustrze swojej rozgrzanej twarzy. Ale widok nagiego Teda nigdy nie wywoływał w niej takich uczuć.

Wzięła głęboki oddech.

- To musiał być szok - powiedziała do swojego odbicia. Otworzyć oczy i zobaczyć koło łóżka Woodrowa w bieliźnie... Tak, to szok, nic więcej.

Chociaż nogi jeszcze trochę jej drżały, wróciła do pokoju. Skoro i tak nie śpi, może równie dobrze umyć się i przygotować na spotkanie z rodziną Woodrowa i swoją siostrzenicą.

Bo na pewno już nie zaśnie, wiedząc, że w sąsiednim pokoju śpi półnagi Woodrow.

Zatrzymał się przed drzwiami, z ręką na klamce.

- To mili ludzie - powiedział, mając nadzieję, że zdoła jeszcze raz zarekomendować jej Asha i Maggie, zanim pozna ich ze sobą. - Kochają małą tak, jakby była ich własną córką.

Zaciskając palce na pasku torebki, Elizabeth skinęła głową.

- Nie wątpię - powiedziała. - I jestem im wdzięczna za to, że się nią zaopiekowali.

W tych słowach Woodrow nie znalazł żadnej wskazówki co do intencji Elizabeth. Nadał nie wiedział, czy zamierza podpisać zrzeczenie się praw, czy też chce odebrać im dziecko.

Otworzył drzwi i gestem zaprosił Elizabeth do środka.

- Jesteśmy! - zawołał.

Na ich spotkanie wyszedł Ash. Wyglądał tak, jakby nie spał od miesiąca. Miał przekrwione oczy, był nieogolony.

- Ash Tanner - przedstawił się, wyciągając rękę do Elizabeth. - A to - dodał, obejmując kobietę, która stanęła za nim - moja żona, Maggie.

Elizabeth, z twarzą jak nieruchoma maska, też się przedstawiła.

- Elizabeth Montgomery. Miło mi was poznać.

Maggie skinęła głową, ale się nie odezwała. Woodrow zastanawiał się, co się stało, bo na ogół jego szwagierka była serdeczna i bardzo gadatliwa.

- Chodźmy do bawialni - zaprosił wszystkich Ash.

- Tam możemy porozmawiać. Maggie upiekła cynamonowe bułeczki - dodał. - Jest też świeżo zaparzona kawa.

Woodrow opadł na kanapę i poklepał się po brzuchu.

- Słyszałeś kiedy, bym odmówił jedzenia wypieków Maggie?

- A pani? - spytał Ash, zwracając się do Elizabeth.

- Nie, dziękuję - odparła uprzejmie.

Maggie poszła do kuchni, a Ash usiadł i próbował prowadzić niezobowiązującą rozmowę. Jednak trudno mu było znaleźć jakiś wspólny temat. W końcu Elizabeth rozwiązała problem.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zobaczyć moją siostrzenicę.

- Teraz śpi. Może poczekamy, aż się obudzi?

Elizabeth niechętnie pokiwała głową.

Maggie wróciła z tacą, postawiła ją na stoliku i podała Woodrowowi talerzyk z bułeczkami.

Elizabeth odchrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę.

- Pytałam Woodrowa, ale on nie wie, dlaczego Renee umarła. - Spojrzała na Maggie. - Powiedział, że pani wie.

- Z powodu rzucawki.

- Zatrucie ciążowe - poprawiła ją Elizabeth automatycznie i zmarszczyła czoło. - Jak jej położnik mógł nie zauważyć pierwszych objawów i nie podjąć leczenia?

Maggie wzruszyła ramionami.

- Może by zauważył, gdyby Star regularnie do niego chodziła. Ale powiedział mi, że gdy upewniła się, że jest w ciąży, więcej już nie przyszła.

W tej chwili dobiegł ich płacz dziecka. Maggie zerwała się z krzesła.

- To Laura. Pójdę do niej.

Elizabeth też wstała i położyła rękę na ramieniu Maggie.

- Mogę...? - spytała i dodała: - Proszę.

Maggie chciała odmówić. Potem jednak opadła z powrotem na krzesło i odwróciła głowę.

- Pokój dziecienny jest po lewej, trzecie drzwi.

Elizabeth stanęła przed drzwiami, wzięła głęboki oddech i weszła.

Powitało ją światło słońca wlewające się przez wysokie okna na przeciwległej ścianie. Nad łóżeczkiem wisiała kolorowa karuzela ze zwierzątkami z farmy.

Elizabeth znieruchomiała. Siostrzenica była zaledwie o parę metrów od niej, ale ona bała się podejść.

Jak wygląda córka Renee? Czy ma jasne loczki? Prześliczne niebieskie oczy jak mama? Jej delikatne rysy? I jak ona, Elizabeth, to zniesie, jeżeli dziecko jest podobne do Renee?

Gdy mała zaczęła głośnej krzyczeć, Elizabeth ostrożnie podeszła bliżej. Najpierw zobaczyła maleńką piąstkę gniewnie wymachującą w powietrzu. Jeszcze jeden krok i już widziała twarzyczkę. Serce boleśnie jej się ścisnęło. Zacisnęła ręce na poręczy łóżeczka.

Aniołek. Prawdziwy aniołek. Chociaż twarzyczka małej była wykrzywiona ze złości i mokra od łez, Elizabeth była pewna, że patrzy w twarz anioła.

Dziecko krzyczało coraz głośniej.

Elizabeth zmusiła się, by oderwać ręce od poręczy, i sięgnęła po małą. Podniosła ją ostrożnie i usiadła na bujanym fotelu przy oknie. Przytuliła siostrzenicę. Taka malutka, pomyślała. I taka piękna. Musnęła palcem jej policzek i wtedy mała otworzyła oczy. Niebieskie.

O Boże, westchnęła Elizabeth. Wygląda jak Renee, gdy była niemowlęciem. Takie same oczy. Takie same jasne, kręcone włoski. Mrugając, by odpędzić łzy, patrzyła na dziecko.

Och, Renee, rozpaczła, dlaczego musiałaś umrzeć?

Ash siedział na brzegu krzesła, z łokciami na kolanach i brodą wspartą na rękach. Maggie nerwowo przemierzała pokój, bębniąc palcem o usta.

Woodrow obserwował ich. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział tak zdenerwowanych ludzi. Ale rozumiał ich niepokój. I nawet częściowo go z nimi dzielił. Elizabeth była w pokoju Laury już od dziesięciu minut.

- Mam iść i zobaczyć, co tam robi? - spytał.

Maggie zatrzymała się.

- Och, Woodrow - jęknęła. - Naprawdę mógłbyś... ?

- Nie - powstrzymał go Ash. - Ma prawo być przez chwilę sama z dzieckiem.

- Ale jest tam już całą wieczność! - wykrzyknęła Maggie. - Laura jest głodna. Pójdę po butelkę. -I ruszyła do drzwi.

Ash zerwał się z krzesła i chwycił ją za ramię.

- Daj tej kobiecie trochę czasu.

Maggie wyrwała się.

Tym razem przytrzymał ją za oba ramiona i potrząsnął.

- Maggie, tak będzie uczciwie.

Przytuliła się do niego.

- Och, Ash... - Zapłakała. - Proszę, nie pozwól jej zabrać Laury. Proszę. Nie pozwól jej...

- Zrobimy wszystko, by móc ją zatrzymać. Obiecuję ci. - Ash oparł brodę na głowie Maggie.

Nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia brata i bratowej, Woodrow wstał z kanapy.

- Zobaczę, co tam się dzieje. Spytam, czy przynieść jej butelkę.

Ash spojrzał na niego.

- Dziękuję, Woodrow - powiedział głosem przepętnionym wdzięcznością. Szepcząc coś do Maggie, usiadł i posadził ją sobie na kolanach.

Woodrow, ciężko wzdychając, ruszył do dzieciennego pokoju. Przy drzwiach zatrzymał się i przyłożył do nich ucho. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Zmarszczył czoło, wyprostował się i nacisnął klamkę.

Elizabeth, z dzieckiem w ramionach, siedziała w bujnym fotelu. Przytulała policzek do policzka małej, oczy miała zamknięte.

Woodrow ostrożnie wszedł do pokoju.

- Elizabeth?

Gdy nie odpowiedziała, podszedł do fotela i uklęknął na jedno kolano.

- Elizabeth? Dobrze się czujesz?

Otworzyła oczy i smutek, jaki w nich zobaczył, niemal złamał mu serce.

- Renee... - szepnęła i mocniej przytuliła małą. - Ona jest taka podobna do Renee.

Woodrow nie wiedział, co powiedzieć.

- Ja... ja - załkała Elizabeth - nie potrafiłam jej zatrzymać. - Ona ciągle uciekała...

Woodrow położył jej rękę na kolanie.

- To na pewno nie twoja wina.

Pochyliła głowę, by spojrzeć na dziecko, po policzku spłynęła jej łza.

- To była moja wina. Miałam się nią opiekować. Pilnować jej. Ale nie upilnowałam.

Łzy płynęły teraz szybkim strumieniem. Woodrow nie wiedział, jak ulżyć jej rozpacz. Łkanie wstrząsało całym ciałem Elizabeth.

- Zachorujesz, jeśli będziesz tak płakać...

Przytuliła dziecko jeszcze mocniej, powoli kołysała się w przód i w tył i nadal szlochała.

- Woodrow?

Obejrzał się. Ash stał w drzwiach, Maggie za nim, wyglądając spoza jego ramienia.

- Pozwól - powiedział spokojnie do Elizabeth. - Zabiorę ją. - Szybko podał dziecko bratu. - Ona jest bardzo wzburzona - wyjaśnił. - Zabiorę ją do domu i postaram się uspokoić.

- Na pewno dasz sobie radę? - spytał Ash z niepokojem.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru - odrzekł Woodrow ponuro.

Zaczekał, aż Ash i Maggie wyjdą, a potem wrócił do Elizabeth. Siedziała zgięta wpool, ramiona jej drżały. Woodrow znów przyklęknął.

- Elizabeth... - szepnął. - Pojedziemy do mnie. Tam będziesz mogła się pozbierać.

Gdy jeszcze mocniej się rozplakała, wyciągnął z kieszeni chustkę i włożył jej do ręki.

- Oni pewnie myślą, że zwariowałam... - wyjąkała.

- Ash i Maggie? - Pokręcił głową, zdjął jej okulary i włożył do kieszeni swojej koszuli. - Nie przejmuj się nimi. Oni rozumieją. A teraz wytrzymaj oczy i wstań. Jedźmy.

Rozpaczliwie pokręciła głową.

- Nie mogę przestać płakać.

- Więc płacz. - Pochylił się i wziął ją na ręce. - Coś mi się wydaje, że od bardzo dawna sobie na to nie pozwoliłaś.

Gdy dojechali do domu Woodrowa, Elizabeth spała, zmęczona płaczem. Wolał jej nie budzić, bo znów mogłaby się rozkleić, więc jeszcze raz wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Gdy kładł ją na łóżku, przytuliła się do niego.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła żałośnie. - Proszę.

Woodrow nie był człowiekiem cierpliwym, a na pewno

nie miał wprawy w pocieszaniu płaczących kobiet. Uznał jednak, że spełnienie jej prośby będzie łatwiejsze niż radzenie sobie z nowym atakiem rozpacz. Zrezygnowany położył się obok Elizabeth na łóżku i objął ją.

ROZDZIAŁ TRZECI

Woodrow wrócił do domu o zmierzchu, i we właściwy sobie sposób: głośno. Gwizdnął na Blue, trzasnął drzwiami. Dopiero wtedy przypomniał sobie o Elizabeth. Wszedł do sypialni, żeby sprawdzić, czy jej nie obudził. Leżała tak, jak ją zostawił, gdy szedł zająć się inwentarzem.

Sam jej widok wystarczył, by znów rozboleła go głowa. Jak on się w to wpakował? Jestem naiwny - odpowiedział sobie ze złością. Ma paskudnie czułe serce. To nie było pierwsze nieszczęsne stworzenie, jakim się zaopiekował. Nawet trudno by mu było policzyć wszystkie zbłąkane zwierzęta, jakie przynosił do domu i leczył. Większość po nabraniu sił odchodziła z własnej woli, dla innych znajdował dobry dom. Kilka, tak jak Blue, postanowiło tu zostać.

Zastanawiał się, co postanowi Elizabeth.

Tyle że, do diabła, ona nie jest opuszczonym szczenięciem, któremu wystarczy koc w kuchni i pełna miska. Jest istotą ludzką. Nie zostanie. Zresztą on wcale sobie nie życzy, by została. Wyśpi się po tym ataku płaczu, zdecyduje, co z dzieckiem, i wróci do Dallas, do tej swojej

eleganckiej dzielnicy z domami zbudowanymi tak blisko siebie, że wystarczy, by jeden lokator kichnął, a całe sąsiedztwo zaraża się katarem.

Zdejmując koszulę, usiadł na kanapie i popatrzył przez otwarte drzwi sypialni na Elizabeth. Jeszcze nigdy nie widział, by ktoś płakał tak długo i tak rozpaczliwie. Nie zapomni szybko, jak do niego przyłgnęła, jak błagała, by jej nie zostawiał. Poczuł w sercu ból. Od dawna nikt go nie potrzebował. Od bardzo dawna.

Gdy tak na nią patrzył, poruszyła się, odsunęła koc i zobaczył szczupłe biodro. Przypomnił sobie, jak tuliła się do niego. Mięka. Delikatna. Od dawna już nie dzielił łóżka z kobietą, nie doświadczał ciepła drugiego ciała, prócz ciepła Blue. To było miłe uczucie. Nawet teraz, gdy o tym myślał, zaczynał czuć podniecenie.

Zmusił się, by odwrócić wzrok. Jest zmęczony, ot co. Inaczej nie przychodziłyby mu do głowy takie myśli. Potrzebuje snu. Z niechęcią popatrzył na kanapę. Za krótka. Tu nie odpocznie. Spojrzał znów na swoje łóżko. Jest wystarczająco duże, uznał. Oboje mogą tam spać, nie przeszkadzając sobie. Poza tym na pewno on obudzi się wcześniej i Elizabeth nawet nie będzie wiedziała, że spędził noc obok niej.

Elizabeth przespała osiemnaście godzin. W końcu zaczęła powoli odzyskiwać świadomość. Poruszyła się i poczuła, jak jej biodra wpasowują się w gorący, wygięty kształt. Poczuła też ciche sapnięcie, poruszenie powietrza

przy uchu. Wystraszyła się. To była ręka obejmująca jej brzuch. Ciepło palców paliło jej skórę.

Woodrow. To on leży obok niej w łóżku. Obejmuje ją. Ale... dlaczego?

To nieważne, pomyślała, i z zadowoleniem znów zamknęła oczy. Tak dobrze jest czuć przy sobie drugiego człowieka. Ale dlaczego on ją obejmuje? - znów się zastanawiała. I od kiedy? Przypomniała sobie, jak go prosiła, by jej nie zostawiał. Popatrzyła w okno. Na dworze było ciemno. Przespała cały dzień?

Chciała usiąść i spojrzeć na zegarek stojący na nocnej szafce, ale palce mocniej się zacisnęły na jej brzuchu.

- Zostań - szepnął Woodrow sennie. - Jest tak przyjemnie.

Położyła się z powrotem. Woodrow przytulił ją i z zadowoleniem westchnął. Czowała jego oddech na karku, unoszenie się piersi przy każdym oddechu. Czy był przy niej przez cały dzień? Chyba nie. Pamiętała, jak głąaskał ją i uspokajał. Pociechę dawał jej dźwięk niskiego, ochryplego głosu. Komfort, jaki znalazła w jego ramionach...

Jest taki duży. Taki szorstki. A mimo to odnosi się do niej łagodnie i z czułością, która przeczy pozorom.

Zmieszana tym paradoksem, skoncentrowała się na wspomnieniu chwili, gdy głąaskał ją po plecach spokojnym, jednostajnym ruchem, by ją uspokoić. Ma cudowne ręce. Duże. Pewne. A oczy... Wyobraziła sobie ich błękit. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wydawało jej się, że patrzy na nią niechętnie. Nawet zimno. Ale gdy klęczał

przed nią przy bujanym fotelu i zdjął jej okulary, odkryła w nich miękkość i serdeczność, przeczące temu pierwszemu wrażeniu.

Więc jaki on właściwie jest? - zastanawiała się. Zręda czy czuły? I dlaczego jest dla niej taki dobry? Przecież jest dla niego obca. Nie ma wobec niej żadnych zobowiązań.

Gdy to pytanie formowało się w jej umyśle, ręka obejmująca jej brzuch zaczęła mocniej naciskać.

Gdyby wczoraj obudziła się w łóżku z obcym mężczyzną, i to podnieconym mężczyzną, w jednej chwili zerwałaby się na równe nogi. Ale teraz z jakichś powodów się nie bała. Czuła tylko... zadowolenie? Z całą pewnością. Przyjemność? Tak, to także. Pożądanie? Zadrzała i mocniej przytuliła się do niego. Och, tak. Zdecydowanie tak.

Zamknęła oczy i zasnęła.

Gdy znów się obudziła, świeciło słońce. Ale brakowało jej ciepła, które ją otaczało przez całą noc. Wyciągnęła rękę do tyłu, spodziewając się, że dotknie Woodrowa, jednak pościel była zimna. Czyżby przedtem tylko śniła?

- Tu jestem.

Obejrzała się. Woodrow siedział przy drzwiach, na brzuchu trzymał parującą filiżankę.

- Spałeś ze mną - szepnęła.

- Nie w sensie biblijnym, jeżeli o to się martwisz - parsknął.

- Wcale nie. Ale myślałam, że mi się to tylko śniło.

- Lepiej mieć sny niż koszmary - zauważył wstając.

Przypominając sobie wydarzenia poprzedniego dnia i nocy, zaczerwieniła się.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłam u twojego brata. Pewnie pomyślałeś, że zwariowałam.

Popił kawy, a potem pokręcił głową.

- Nie ma za co przepraszać. Potrzebowałam tego. Jesteś głodna? - spytał. - Usmażyłem naleśniki. Pewnie jeszcze są ciepłe.

Elizabeth wstała i ruszyła do łazienki. Cieszyła się, że nie zrobił żadnej aluzji na temat wspólnej nocy.

- Umieram z głodu. Czuję się tak, jakbym nie jadła od tygodni.

- Sądząc po tym, jak jesteś szczupła, powiedziałbym, że od miesięcy.

Obejrzała się. Spodziewała się, że patrzy na nią z obrzydzeniem. Ale zamiast tego w jego oczach zobaczyła... właściwie co? Zanim zdążyła to określić, Woodrow się odwrócił.

- Pospiesz się - rzucił przez ramię. - Te naleśniki są coraz zimniejsze.

Gdy zjedli śniadanie, Elizabeth uparła się, że skoro Woodrow przygotował posiłek, ona posprząta. Siedział więc przy stole i przyglądał się jej.

Nie wygląda najgorzej, pomyślał, biorąc pod uwagę, przez co ostatnio przeszła. Wprost przeciwnie, wygląda

cholernie dobrze, chociaż jest taka delikatna. Wydawałoby się, że wystarczy lada podmuch, by ją złamać. Ale sen musiał pomóc, bo zniknęły te głębokie cienie spod oczu, a policzki lekko się zaróżowiły.

To przez to życie w mieście, uznał. Tłumy, oddychanie skażonym powietrzem... Ta kobieta potrzebuje miesiąca na wsi, w słońcu, w czystym, świeżym powietrzu.

Co za głupie myśli, skarcił się zaraz. Co ona by mogła tu robić? A poza tym to jej sprawa. Jemu zlecono przywiezienie jej tutaj i przekonanie, by zrezygnowała z praw do dziecka, żeby Ash i Maggie mogli je adoptować. Pierwszą część zadania wypełnił, teraz trzeba zabrać się do drugiej.

- Myślisz, że dasz radę spotkać się dziś z Ashem i Maggie? - spytał.

Elizabeth znieruchomiała.

- Raczej nie - odparła po dłuższej chwili. - To za wcześnie. Ale chciałabym pojechać na grób siostry. Wiesz, gdzie jest pochowana?

- Nie. Ale Maggie na pewno to wie. Zapytam ją.

Na wspomnienie Maggie Elizabeth spuściła wzrok i zaciśnęła ręce.

- Ona mnie nie lubi.

- Maggie? Niemożliwe. Ona ma złote serce. Nie to, że cię nie lubi... Po prostu... chyba czuje się zagrożona.

- Przeze mnie? Z jakiego powodu?

Niepewny, jak to ująć i ile może powiedzieć, Woodrow przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu uznał, że najlepsza będzie szczerłość.

- Boi się, że będziesz z nimi walczyć o opiekę nad dzieckiem. - Zaczekał moment, a potem spytał: - Zamierzasz to zrobić?

Elizabeth nie odpowiedziała od razu. Złożyła starannie ścierkę, odłożyła ją na szafkę.

- Nie wiem - odparła w końcu drżącym głosem. - To wszystko stało się tak nagle. Tak niespodziewanie. Właśnie się dowiedziałam o śmierci siostry, a teraz oczekuje się ode mnie, że natychmiast coś postanowię w sprawie przyszłości siostrzenicy. - Pokręciła głową. - Nie mogę tego zrobić, póki nie pogodzę się ze śmiercią Renee. - Spojrzała na niego, wzrokiem błagając o zrozumienie. - Wiem, że to wygląda na wykręty albo nawet egoizm, ale... - Bezradnie wzduszyła ramionami, a w oczach pokazały jej się łzy. - Nie mogłam nawet się z nią pożegnać.

Woodrow zajechał na cmentarz i spojrzał z ukosa na Elizabeth, by sprawdzić, czy czuje się na siłach iść na grób. Całą drogę do Killeen milczała, patrząc w okno. Nie potrafił odgadnąć, o czym myśli, co czuje.

Powstrzymując westchnienie, wskazał palcem grób ze stalową tablicą, na której było napisane tylko: „Kwatera nr 49”.

- Mam iść z tobą? - spytał.

Pokręciła głową i sięgnęła do klamki.

- Nie. Pójdę sama.

Ze ściśniętym sercem patrzył, jak powoli, niemal niechętnie podchodzi do grobu. Po długiej chwili opadła na

kolana, wdzięcznie i powoli, jak zwiędły liść. Nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła palcem tablicy.

Czy powinien do niej podejść? Czy też lepiej uszanować jej prawo do prywatności? Gdy kręcił się na fotelu, nie wiedząc, co robić, zobaczył, jak Elizabeth opuszcza głowę, a jej ramiona zaczynają drżeć.

Klnąc pod nosem, wyskoczył z pikapa i w pięciu krokach był przy niej. Przyklęknął trochę z tyłu i w milczeniu położył jej rękę na ramieniu. Nie mógł znaleźć słów, które pomogłyby jej uporać się z rozpaczą. Ale dał jej tyle, ile mógł. Swoją siłę i obecność.

Po chwili Elizabeth wzięła głęboki oddech i powiedziała przez łzy:

- Boże, jak ja tego nienawidzę! W pracy miałam do czynienia ze śmiercią setki razy. Zdarzało mi się nawet ją zwyciężać. - Spojrzała na grób i pokręciła głową. - Ale nigdy jej nie zrozumieję. Nigdy.

Woodrow uściskał pocieszająco jej ramię.

- Chyba nikt tego nie rozumie.

Przykryła jego rękę swoją.

- To nieuczciwe, prawda? Renee była taka młoda. Dopiero co urodziła dziecko. Miała całe życie przed sobą.

- Tak, to nieuczciwe - zgodził się. - Ale życie rzadko bywa uczciwe.

Spojrzała na niego, łzy na rzęsach w świetle słońca lśniły jak brylanty.

- A ty? Straciłeś kogoś?

Nie chciał o tym myśleć. Większą część życia spędził,

utwardzając serce na ból utraty. Zmarszczył czoło, wziął Elizabeth za rękę i pociągnął na nogi.

- Rzadko kto przechodzi przez życie, nie tracąc nikogo z bliskich.

Obejrzała się jeszcze raz na grób, ramiona jej opadły.

- Ja straciłam wszystkich. Ojciec umarł, kiedy byłam mała. Mama pięć lat temu. Renee przyjechała na jej pogrzeb. Od tego czasu jej nie widziałam.

- Pokłóciłyście się? - spytał, ale zaraz dodał: - Przepraszam. To nie moja sprawa.

Uśmiechnęła się do niego.

- W porządku. Tak, pokłóciłyśmy się. Chyba zawsze tak się działo, gdy byliśmy razem dłużej niż pięć minut.

Popatrzyła gdzieś w dal.

- Byłyśmy zupełnie inne, zarówno jeśli chodzi o charakter, jak i o wygląd. Interesowały nas inne rzeczy. Ja zawsze byłam pilną uczennicą, skoncentrowaną na osiągnięciu celu. Od dzieciństwa wiedziałam, że chcę być lekarką. Renee chciała...

- Czego? - spytał Woodrow, gdy Elizabeth się zaważała.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie wiem. Chyba wszystkiego. Była piękna i... rozpieszczona. - Elizabeth spuściła głowę, jakby wstydząc się, że mówi źle o siostrze. - Wiem, to może zabrzmieć podle, nawet okrutnie, biorąc pod uwagę, że ona... nie żyje. Ale to prawda. - Spojrzała na niego, w oczach znów miała łzy.

- A najsmutniejsze jest to, że sama miałam wielki udział w jej rozpieszczaniu i psuciu.

Woodrow nie chciał jej współczuć. W ogóle nie chciał czuć do niej niczego, bo wtedy trudniej by było mu przekonać ją, żeby powierzyła opiekę nad dzieckiem bratu i jego żonie. Ale nie mógł tak stać i patrzeć, jak obwinia się o coś, na co najwyraźniej nic nie mogła poradzić. Elizabeth potrzebuje teraz jakiejś rozrywki. I wiedział, jak oderwać jej myśli od rozpamiętywania przeszłości.

- Byłaś kiedyś na rybach? - spytał.

Zamrugła, zdumiona nagłą zmianą tematu.

- Słucham?

- Na rybach - powtórzył. Objął ją za ramiona i poprowadził do samochodu. - Mam apetyt na smażone sumy i wiem, gdzie najlepiej biorą.

Marszcząc nos z obrzydzenia, Elizabeth wpatrywała się w tackę kurzych serc. Nigdy jeszcze nie była na rybach i wcale jej nie zależało na tym, by teraz się tego uczyć. Ale nie chciała odmawiać Woodrowowi. Przecież tak serdecznie się nią opiekował.

Robiąc dobrą minę do złej gry, starannie zawinęła rękawy bluzki do łokcia. Żołądek wywracał jej się na lewą stronę.

- Czy naprawdę muszę to nabić na haczyk? - spytała, próbując nie myśleć o mdłościach.

- Tak, jeśli chcesz złapać rybę.

Zamknęła oczy i na oślep sięgnęła do tacki, ale zaraz cofnęła rękę.

- Nie mogę - szepnęła żałośnie.

Obejrzał się na nią i zmarszczył czoło, widząc jej nieszczyśliwą minę.

- Delikatnisia - mruknął.

Przytrzymał swoją wędkę kolanami i założył przynętę na wędkę Elizabeth.

- Proszę - powiedział. - Czy zarzucić też mam za ciebie?

Pokaże mu, że nie jest delikatnisia!

- Nie. Teraz już dam sobie radę sama - odparła. Zdecydowanym ruchem zamachnęła się i zarzuciła wędkę.

- I co teraz?

- Teraz czekamy.

Po chwili, znudzona patrzeniem na spławik, rozejrzała się po okolicy. Jezioro było duże, w oddali widziały skaliste wzgórza. Na zielonej trawie pasło się bydło i kozy.

- To wszystko jest twoje? - spytała.

- Co?

- To - machnęła ręką.

- Mam siedemset pięćdziesiąt akrów. - Wskazał ręką coś w oddali. - Widzisz bramę? Na szczycie tamtego wzniesienia?

Zmrużyła oczy i popatrzyła za jego ręką.

- Widzę.

- Tamto ogrodzenie wyznacza północną granicę. Po-

łudniowej nie zobaczysz, bo zasłaniają ją drzewa, ale jest mniej więcej w takiej samej odległości od nas. Szosa, którą przyjechaliśmy, stanowi wschodnią granicę, a zachodnia jest o jakieś trzy kilometry stąd. Mój dom stoi w samym środku posiadłości.

Elizabeth rozejrzała się. Rzeczywiście, jak okiem sięgnąć nie było żadnego innego domu.

- Nie czujesz się tu samotnie?

- Nie - burknął.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Ale gdybyś poczuł się samotnie, możesz zawsze pojechać do brata, prawda?

- Do Asha? - upewnił się. A gdy skinęła głową, powiedział: - On tu nie mieszka. To nasz dom rodzinny. Ash mieszka w Kerrville, a tu będzie tylko do czasu, aż załatwi sprawy po śmierci ojca.

- Mówiłeś, że masz też innych braci. Czy oni mieszkają w pobliżu?

- Nie, Reese mieszka w Austin. Jest chirurgiem. Rory, najmłodszy, ma dom w San Antonio, ale przez większość czasu uganiania się po kraju za towarem do swoich sklepów z westernowymi artykułami. Whit, mój brat przyrodni, mieszka najbliżej, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd, ale rzadko się widzimy.

- Dlaczego?

Woodrow wzruszył ramionami.

- Ma własne życie. Ja mam swoje.

- A z pozostałymi braćmi jesteś blisko?

- Kiedyś tak było. - Zmarszczył czoło i popatrzył na swój spławik. - Masz zamiar łowić ryby czy gadać?

Co oznaczało, że Woodrow nie chce nic więcej o sobie powiedzieć. Czyniąc zadość jego życzeniu, Elizabeth otarła pot z czoła i więcej już się nie odezwała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie z wędkowania - a Elizabeth złowiła wielkiego, półtorakilogramowego sumy, z czego była bardzo dumna - Woodrow skorzystał z okazji, gdy poszła się umyć, i zadzwonił do brata.

- Tak - odpowiedział na pytanie Asha. - Pojechaliśmy na cmentarz. Dobrze to zniosła.

- Byliście na cmentarzu cały dzień? - zdziwił się Ash.

- Nie. Potem pojechaliśmy na ryby.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Ash ze śmiechem.

- Trudno sobie wyobrazić tę lekarzkę łowiącą ryby.

Woodrow uśmiechnął się bezwiednie.

- Dała sobie radę. Złowiła największego sumy.

- Pobiła cię?

- Nie powiedziałem, że mnie pobiła, tylko że złowiła największą rybę - warknął Woodrow.

- Och. No, dobrze - powiedział Ash z rozbawieniem.

Nie chcąc dłużej narażać swojej męskiej dumy na uszczerbek, Woodrow zmienił temat.

- Nie wiem, kiedy będzie chciała znów zobaczyć dziecko. Nic o tym nie mówiła. Może jutro. Dam ci znać.

- A co z nią zrobisz do tego czasu?

- Jak to: co z nią zrobię?

- No, wiesz. Trzeba jej zapewnić rozrywkę. Nie bardzo widzę, jak oboje siedzicie u ciebie w domu, popijacie piwo i rozmawiacie sobie o wszystkim i o niczym. Elizabeth wygląda mi raczej na intelektualistkę, która woli wino i poważne rozmowy na tematy egzystencjalne.

- A twoim zdaniem ja jestem zbyt tępy, by rozmawiać z inteligentną kobietą? - parsknął Woodrow.

- Nie to chciałem powiedzieć - sumitował się Ash.

- Już dobrze - mruknął Woodrow, wiedząc, że aluzja do jego skromnych możliwości intelektualnych, zamierzona czy nie, była zasłużona. Nigdy nie był dobrym uczniem. Nigdy mu na tym za bardzo nie zależało. Nigdy też nie miał przy sobie nikogo z rodziców, którym by zależało na tym wystarczająco, by go zachęcać.

- Zadzwońię do ciebie, gdy Elizabeth będzie gotowa, by znowu zobaczyć dziecko - oznajmił i przerwał połączenie.

Rzucił telefon, wsparł łokcie na kolanach i zapatrzył się na swoją ziemię. Może i nie ma uniwersyteckiego dyplomu jak jego bracia. Ale, na Boga, nie jest głupi! Ciężko pracował, oszczędzał i kupił tę posiadłość. Bez niczyjej pomocy, a już zwłaszcza bez pomocy ojca. Używając tyle rozumu, ile miał, w pocie czoła stworzył tu przynoszące dochód ranczo. Oczywiście nic tak wielkiego jak Bar T. Ale był dumny z tego, co dokonał, co zbudował.

Miał godne podziwu stado bydła i kóz, sprzedawał siano z łąk, które sam oczyścił z drzew i obsiał trawą. Teraz

zastanawiał się nad hodowlą sumów, gdyż przydałoby się trochę zróżnicować produkcję na wypadek, gdyby handel byłem przez jakiś czas szedł źle.

Nie zależał od nikogo, nawet od przyrody. Chociaż z łatwością mógł się podłączyć do wodociągu hrabstwa, gdy budował swój dom, wykopał studnię, a także zbierał wodę deszczową do cystern zainstalowanych na dachu domu i dachach zabudowań gospodarczych, żeby poić nią inwentarz i podlewać ogród. Poszedł łatwą drogą, jeśli chodzi o prąd, podpisując umowę, dzięki czemu doprowadzono mu prąd od szosy do posiadłości, ale na wszelki wypadek miał też własne baterie słoneczne. Prawie wszystko, co jadł, pochodziło z jego własnego gospodarstwa: warzywa i owoce z ogrodów, a mięso ze zwierząt, które sam hodował.

Tak więc może i nie jest intelektualistą, jak niechcący przypomniał mu Ash, lecz nie jest też głupcem. Wie, jak przeżyć.

I żyje tak od wielu lat.

Sam.

Usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi. Obejrzał się. Elizabeth właśnie wychodziła na ganek. Świeżo po prysznicu, miała na sobie sięgającą kostek, luźną sukienkę, była boso. Nie zauważyła go. Pochyliła się mocno do przodu tak, że włosy zakryły jej twarz, i zaczęła szczotkować je od karku. Gdy obserwował tę zwykłą przecież czynność, która jednak jemu wydała się szalenie erotyczna, w ustach zrobiło mu się sucho jak w stawie po siedmiu latach suszy.

Po jakimś czasie wyprostowała się i odrzuciła włosy do tyłu. Otoczyły jej ramiona jak lśniąca kaskada, złocista w promieniach słońca. Odwróciła się i wtedy go zobaczyła. Zesztywniała, konwulsyjnie zaciskając palce na ręczce szczotki.

- Jeżeli chcesz być sam - powiedziała szybko - wróć do środka.

Woodrow pomyślał, że wystraszyła się jego miny. Marszcząc czoło, pokręcił głową i znów wpatrzył się w swoją ziemię.

- Tylko cieszę się tym widokiem. Jest dość miejsca dla dwojga.

Usłyszał miękkie kroki bosych stóp na drewnianej podłodze i wsadził ręce między kolana, żeby ukryć swoje podniecenie. Gdy usiadła obok niego, rąbek jej sukni musnął jego łydkę. Odczuł to tak silnie, że musiał opanować jęk.

Ze spojrzeniem wbitym w horyzont podkuliła kolana i przykryła nogi sukienką.

- Tu jest pięknie - powiedziała z uśmiechem.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, w kierunku zachodzącego słońca.

- Tak - przyznał.

- Wiem, że to może zabrzmieć śmiesznie, ale w mieście nie mamy takich zachodów. A przynajmniej nie tam, gdzie mieszkam.

Skinął głową, rozumiejąc, co miała na myśli.

- W miastach jest za dużo domów, żeby można coś

zobaczyć. No i tyle światła. - Pokręcił głową i wskazał niebo, w czerwieniach, różach i złocie. - Miejskie światła odbierają blask zachodowi. Powodują, że niebo wygląda jak wyblakłe.

Przechyliła głowę na bok, zastanawiając się nad jego słowami.

- Nigdy przedtem tak o tym nie myślałam - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. - Ale masz rację. Tutaj kolory są wyraźniejsze. Wprost wibrują.

Wiedział, że coś powiedziała, ale nawet gdyby przyłożono mu pistolet do głowy, nie potrafiłby powtórzyć jej słów. W chwili gdy się uśmiechnęła, było tak, jakby coś owinęło się wokół jego piersi i ścisnęło. Bo ten uśmiech przeistoczył jej twarz, rozświetlił oczy.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak piękne są te oczy. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył? Może dlatego, że teraz nie miała okularów. Bez tej osłony zobaczył, że jej oczy mają kształt migdałów i są ocienione długimi, gęstymi rzęsami. Chociaż niebieskie jak jego własne, były o odcień jaśniejsze, przez co wydawały się bardziej miękkie. Łagodniejsze. Patrzenie w te oczy było jak patrzenie w głębokie jezioro, w którym odbijała się jej dusza. Każde uczucie, każde drgnienie serca.

Gdy tak patrzył, oniemiały od piękna tych oczu i tajemnic, jakich broniły, nagle napłynęła na nie chmura. Elizabeth uniosła rękę do policzka.

- Czy mam coś na twarzy?

Pokręcił głową i przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

- Nie. - A gdy obronnym gestem nadal trzymała rękę przy twarzy, wziął jej dłoń i pociągnął w dół. - Masz idealną twarz. Naprawdę.

Zaczerwieniła się, to go wzruszyło. Od dawna już nie czuł takiej tkliwości. Powinien teraz puścić jej rękę. Ale zamiast tego splótł palce z jej palcami. Nie próbowała się uwolnić, ale czuł, jak jej ręka drży, i to go zastanowiło.

Przecież jest dorosłą kobietą. Fakt, że mężczyzna trzyma ją za rękę, nie powinien jej wzburzyć. Czy to z jego powodu czuje się nieswojo? Czy też chodzi o coś innego?

Na przykład o mężczyznę tam, w Dallas?

Zaklął w duchu, bo tej możliwości nie wziął pod uwagę.

Zacisnął mocniej palce na jej ręce. Musi się dowiedzieć.

- Elizabeth, wiem, że to nie jest najdelikatniejszy sposób pytania, ale do diabła, chcę wiedzieć. - Wciągnął powietrze, a potem wypalił: - Jest ktoś, kto ma do ciebie prawo?

Zamrugła.

- Co takiego?

- Masz przyjaciela? - sprecyzował niecierpliwie.

Po jej twarzy przemknął cień. Zupełnie jakby z jakiegoś powodu czuła się winna.

- Miałam - powiedziała. A potem westchnęła. - Ale już nie mam.

Spłynęła na niego fala ulgi. Wstał i pociągnął Elizabeth za sobą.

- To dobrze. Bo nie chciałbym, żeby ktoś się na mnie zaczął z dubeltówką.

Roześmiała się.

- Dlaczego ktoś miałby...

Zanim skończył, objął ją i przyciągnął do siebie. Zdążył jeszcze zobaczyć w jej oczach zdumienie, a potem już ją całował. Dotykał tylko lekko jej warg, łagodnie, delikatnie. I w chwili, gdy poczuł, jak się do niego przytula, jak powoli rozchyła usta, wiedział, że postępuje właściwie. Dopiero wtedy ośmielił się pogłębić pocałunek.

Smakowała tak słodko, tak niewinnie. Tak niewiarygodnie dobrze pasowała do jego ramion.

Podniósł ją. Jęknął, czując jej ciało przy sobie. Krew mu się rozpałała, w uszach czuł pulsowanie. Zanadto się śpieszę, napomniał się. Posuwam się za daleko, pomyślał. Jednak dla niego było to o wiele za wolno. Ale nie dla niej. Elizabeth jest wrażliwa, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Jeżeli teraz weźmie ją do łóżka, wykorzysta jej emocjonalną słabość. Bał się, że potem by tego pożałowała.

Powoli postawił ją, objął rękami jej twarz i zmusił, by na niego popatrzyła. Oczy miała zamknięte, usta wilgotne i lekko rozchylone. Czuł, jak w ramionach, które mu zarzuciła na szyję, bije puls, ciepło jej oddechu muskało mu brodę. Gdy tak patrzył, oczarowany jej pięknem, powoli otworzyła oczy. Zobaczył w nich namiętność, ale także zachwyty.

Podniecony tym pierwszym i spokorniały od tego drugiego, pogłaskał ją palcem po policzku.

- Dlatego właśnie bałem się, że ktoś może do mnie

strzelać. Chciałem cię pocałować, a nie wiedziałem, czy mam do tego prawo.

Bał się też, że jeżeli nadal będzie tak na niego patrzyła, nie zdoła się opanować. Tak więc tylko cmoknął ją w czubek nosa i odsunął się.

- Lepiej wejdźmy do domu, bo zjedzą nas komary.

Skinęła głową, powoli zsunęła ręce z jego ramion. Ale jeszcze ją zatrzymał.

- Elizabeth?

- Tak?

- Zeszłej nocy spałem z tobą w tym samym łóżku. Trzymałem cię w ramionach. Dziś nie mogę tego zrobić. Nie mogę, bo...

Spuściła głowę, na policzki wypłynął jej rumieniec.

- Ja... rozumiem.

Palcem uniósł jej brodę.

- Naprawdę? - Pokręcił głową. - Chyba jednak nie. Zeszłej nocy, gdy położyłem się obok ciebie, nie zamierzałem cię dotykać. Zamierzałem się obudzić przed tobą i nawet byś nie wiedziała, że tam spałem. - Znów pokręcił głową, a potem uśmiechnął się złośliwie. - Ale wtedy nie wiedziałem, że jesteś łóżkowym prosięciem.

- Coś takiego?! - wykrzyknęła.

- Właśnie. Nie minęło dziesięć minut, a już mnie wykopywałaś.

- Nic takiego nie zrobiłam - pisnęła z oburzeniem, usiłując go odepchnąć.

Objął ją w pasie, żeby się nie wyrwała.

- Ale tak właśnie było, więc miałem tylko dwie możliwości: albo z obawy o życie mocno cię objąć, albo spaść na podłogę. A ponieważ ty jesteś odrobinę bardziej miękka niż podłoga, wybrałem to pierwsze.

Gdy zrozumiała, że drażni się z nią, uderzyła go w pierś.

- I słusznie ci się należało za to, że wpakowałeś się podstępnie do mojego łóżka - powiedziała, skrywając uśmiech.

Wziął ją za obie ręce i przytulił je do piersi. W jego oczach nie było już kpin.

- Elizabeth?

Zesztywniała, wstrzymując oddech.

- Tak?

- Dziś... zamknij swoje drzwi na klucz.

Woodrow powiedział, by dziś na noc się zamknęła, ale Elizabeth tego nie zrobiła. Jeszcze nie. Przebrała się do snu, a teraz stała, wahając się przed drzwiami, z ręką na kluczu. Przypuszczała, że po drugiej stronie drzwi Woodrow czeka na szcęk zamka.

Dlaczego ją o to poprosił? A może było to jakieś ostrzeżenie? Jasno dał do zrozumienia, że go pociąga. Może powiedział to, bo nie ufał sobie, że zdoła zostać w drugim pokoju, jeżeli drzwi nie będą zamknięte?

Albo może chciał jej pozostawić decyzję, czy zostaną kochankami?

Powoli odsunęła rękę od klucza. Ten pociąg nie był

jednostronny. Jej też Woodrow się podobał. Ale znała niebezpieczeństwo wejścia w nowy związek tak szybko po zerwaniu poprzedniego. Odbijanie się od dna. Znała ten termin. Poznała go na jednym z wielu specjalistycznych kursów, w tym wypadku z psychologii, a nawet prowadziła terapię grupy kobiet, które cierpiały właśnie z tego powodu.

Czy ona przenosi swoje uczucia z Teda na Woodrowa? Czy posługuje się Woodrowem, by zapełnić pustkę, jaką Ted zostawił w jej życiu? Sfrustrowana, przycisnęła czoło do drzwi. Jaką pustkę? Dopóki Woodrow nie spytał jej dziś, czy ma przyjaciela, nawet nie pomyślała o Tedzie. Uczciwie mówiąc, nie miała na to czasu od chwili, gdy zwróciła mu pierścionek. Kilka godzin po jego wyjściu wyjechała z Woodrowem do Tanner's Crossing.

Woodrow...

Powoli się wyprostowała. Wyobraziła go sobie po drugiej stronie drzwi, wyciągniętego na kanapie. Przycisnęła rozpostarte dłonie do drewna drzwi. Aż bolały, tak bardzo chciała go dotknąć. Był dla niej taki dobry. Dał jej pociechę, zrozumienie. Nie wyobrażała sobie, by Ted potrafił tak się zachować. I Ted z całą pewnością by nie nalegał, że odwiezie ją na cmentarz, ani nie podszedłby z nią do grobu. Uważałby odwiedzanie grobu za jakieś wariactwo, stratę czasu dla nich obojga, a jej powody, by jednak pojechać, za absurdalne.

Ale Woodrow zrozumiał jej potrzebę zobaczenia miej-

sca, gdzie leżała Renee, jej potrzebę uporania się z przeszłością. Z początku nie chciała, by był przy niej, ale i tak poszedł, dając jej pociechę, dzieląc się z nią swoją siłą, gdy dała się ponieść żalowi. Nawet teraz czuła ciężar jego ręki na swoim ramieniu, gdy klęczał obok niej, falę ciepła i mocy, która emanowała od niego ku niej.

Nie wiedziała, czego bardziej pragnie: pociechy czy mężczyzny. W tej chwili jej uczucia były zbyt świeże, zbyt chaotyczne, by mogła im zawierzyć.

Przekręciła klucz w zamku.

Dopóki nie będzie pewna swoich uczuć, nie może się wiązać z Woodrowem, ani fizycznie, ani psychicznie. Za bardzo jej na nim zależało, by posłużyć się nim dla zaspokojenia swoich egoistycznych potrzeb.

Woodrow usłyszał szcęk klucza. Schował twarz w rękach, powstrzymując jęk rozczarowania. Powiedział jej, żeby się zamknęła. Nawet dokładnie wyjaśnił dlaczego.

Ale, do diabła, miał nadzieję, że zlekceważy jego ostrzeżenie. Modlił się o to, bo bardzo jej pragnął. Zrezygnowany rozebrał się i położył, zakrywając oczy ręką.

Coś wilgotnego i mokrego trąciło go w ramię. Woodrow otworzył oczy. Blue siedziała przy kanapie i patrzyła na niego błagalnie.

- Dobrze, psino - powiedział i położył się na boku, by zrobić dla niej miejsce. Objął ją i znów zamknął oczy.

Ale nawet Blue, która dzieliła z nim łóżko już od trzech

lat, nie zdołała uwolnić go od ciężącego mu na sercu poczucia samotności.

Woodrow otworzył oczy i zamrugał. Nie wiedział, co go wyrwało ze snu. W końcu uświadomił sobie, że dzwoni telefon.

Chciał wstać i w tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi sypialni. Elizabeth stała w progu, gorączkowo zawiązując pasek szlafroka, włosy miała potargane od snu. Jej spojrzenie padło na bokserki Woodrowa.

A on nie zrobił nic, by się osłonić.

Przełknęła ślinę i zmusiła się do spojrzenia mu w twarz.

- Słyszałam telefon - powiedziała.

- Tak. Ja też.

Chwycił słuchawkę.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego - warknął ostrzegawczo.

Jednak w miarę jak słuchał, jego złość ustępowała.

- Ile stopni? - spytał, a gdy usłyszał odpowiedź, aż sapnął. - Człowieku, to dziecko płonie!

Uświadamiając sobie, że chodzi o jej siostrzenicę, Elizabeth z zamierającym sercem podeszła do niego.

- Spytam ją - powiedział Woodrow i przykrył słuchawkę ręką. - To Ash - wyjaśnił szeptem. - Mała ma czterdzieści stopni gorączki. Ich rodzinny lekarz wyjechał z miasta i Ash zastanawia się, czy mogłabyś przyjechać i ją zbadać.

Krew zastygła Elizabeth w żyłach na myśl o tym, że

znów zobaczy siostrzenicę, że będzie ją trzymała w ramionach. Nie była na to gotowa. Dopiero zaczynała się godzić ze śmiercią Renee. W tej chwili nie mogła przyjąć na siebie nic więcej. Jeszcze nie.

- Nie mam swojej lekarskiej torby - powiedziała, chwytając się pierwszej wymówki, jaka przyszła jej do głowy.

Woodrow odsunął jej pasmo włosów z czoła i położył rękę na policzku.

- Po prostu obejrzyj ją - poprosił miękko. - Będę przy tobie.

Zamknęła oczy. Pod powiekami zbierały jej się łzy. Potrzebowała siły, by przez to przejść. I znalazła ją. Ręka, która dotykała jej twarzy, dawała jej tę siłę.

Otworzyła oczy i napotkała spojrzenie Woodrowa.

- Dobrze. Ubiorę się i jedziemy.

Gdy Woodrow zatrzymał samochód przed domem swojego dzieciństwa, wszystkie okna były jasno oświetlone. Wziął Elizabeth pod rękę i pociągnął do środka.

Powitał ich rozpaczliwy płacz dziecka.

- Ash! - krzyknął Woodrow. - Gdzie jesteście?

Ash pojawił się w drzwiach pokoju dziecinnego. Miał zmartwioną twarz.

- Tu! - zawołał i z powrotem zniknął w pokoju.

Gdy weszli tam z Elizabeth, Maggie była w łazience, mała leżała na stole do przewijania. W lustrze zobaczył twarz Maggie. Usiłowała uspokoić dziecko, a ciche łzy

bezradności płynęły jej po policzkach. Woodrow spojrzał na Elizabeth, która stała obok niego.

- Elizabeth?

Odwróciła się. Zobaczył w jej oczach strach. Ucisnął jej ramię.

- Jestem z tobą - szepnął.

Wzięła głęboki oddech, uniosła głowę i weszła do łazienki. Woodrow szedł o krok za nią.

Gdy pochyliła się nad dzieckiem, Woodrow widział, że z trudem wstrzymuje łzy. Przełknęła ślinę, a potem błagalnie spojrzała w lustro, szukając spojrzenia Woodrowa.

- Możesz to zrobić - wyszeptał bezgłośnie i mrugnął do niej.

Znów zwróciła wzrok na dziecko, a potem zacisnęła zęby i zaczęła zawijać rękawy. Woodrowa zachwyciła ta przemiana z bezbronnej, zalęknionej kobiety w kompetentną lekarzkę. Jej twarz się wygładziła, usta zacisnęły, spojrzenie stało się ostre, dociekliwe. Sięgnęła po pojemnik z płynnym mydłem i zaczęła szorować ręce.

- Jakie są objawy? - spytała.

Maggie załkała.

- Wczoraj miała trochę temperatury i przez cały dzień była marudna. Nie przejmowałam się tym za bardzo. Potem, wieczorem, gdy ją karmiłam, zauważyłam, że jest rozpalona. - W oczach zakręciły jej się łzy, podniosła rękę do ust, usiłując się opanować. - Powinnam była zmierzyć jej gorączkę, ale nie zrobiłam tego. Myślałam, że nic złego się nie dzieje. Że może wyrzyna jej się ząbek. Ale potem,

o jedenastej, obudziła się i zaczęła płakać. - Maggie ledwo wstrzymywała łzy. - Próbowaliśmy wszystkiego, co przyszło nam do głowy, żeby ją uspokoić, ale nic nie pomagało. W końcu zmierzylśmy jej gorączkę.

Maggie ukryła twarz na piersi Asha i rozpłakała się. Ash objął ją i kontynuował:

- Gdy ją rozebraliśmy, żeby zmierzyć gorączkę, zauważyliśmy wysypkę. - Wskazał palcem wypryski na piersi dziecka. - Wiesz, co to może być? - spytał.

Elizabeth pochyliła się nad małą i poprawiła okulary. Woodrow i Ash stali, wstrzymując oddech. Zapłakana Maggie czekała na wyrok, zasłaniając ręką drżące usta.

- Miała ostatnio jakieś szczepienia? - spytała Elizabeth, badając opuchnięte gruczoły na szyi małej.

- Nie - wyjaśniła Maggie. - Ostatnią serię dostała trzy tygodnie temu.

- Kaszle?

- Trochę, ale to chyba od płaczu.

Elizabeth skinęła głową i wzięła dziecko na ręce.

- Możecie zawieźć ją do swojego lekarza, żeby potwierdzić diagnozę, ale myślę, że to różyczka. Wicie coś o tej chorobie?

Maggie skinęła głową.

- Tak. Nie przyszło mi to do głowy - powiedziała z poczuciem winy. - A przecież uczę się w szkole pielęgnarskiej! Powinnam była wiedzieć. - Po policzkach znowu popłynęły jej łzy, znów ukryła twarz na piersi męża. - Jestem złą matką.

Woodrow zauważył, że Elizabeth zeszywniała, słysząc to ostatnie zdanie.

- Nie - powiedziała jednak spokojnie. - Wpadłaś w panikę, a to zdarza się większości ludzi, gdy dziecko zachoruje. - Przytuliła małą, usta zaczęły jej drżeć. Widząc to, Woodrow szybko podszedł i zabrał dziecko.

- Chodź do mnie, malutka - powiedział i ustawił się przed Elizabeth, dając jej czas na opanowanie się. Potarł małą nosem po brzuszku. - Co ty sobie myślisz? Tak nas straszysz?

- Macie dziecięcą aspirynę? - spytała Elizabeth, gdy już się opanowała.

- Tak.

- Dajcie jej jedną dawkę, a potem sok. Dzięki temu prześpi noc. Przez dwa-trzy dni może mieć gorączkę, pojawi się też większa wysypka. Ale różyczka to choroba wirusowa i przeważnie mija bez powikłań. Za kilka dni dziecko będzie zdrowe. - Zwróciła się do Woodrowa. - Chodźmy już. Maggie i Ash są wykończeni i na pewno chcą się przespać.

W drodze do domu Elizabeth milczała, patrząc w okno. Woodrow widział, że coś ją nęka. I chyba wiedział co.

Gdy dojechali, zgasił silnik i odwrócił się do niej.

- Dobrze się czujesz?

Nie patrząc na niego, skinęła głową i wysiadła.

Dogonił ją na podjeździe i chwycił za ramię. Zobaczył w jej oczach łzy.

- Słusznie postąpiłaś. Naprawdę słusznie - powiedział. - I wiem, że było ci smutno, gdy zobaczyłaś dziecko swojej siostry, tak podobne do niej.

Przyciskając palce do ust, opuściła głowę.

- To takie niesprawiedliwe - załkała. - To Renee powinna się opiekować swoim dzieckiem... Nie Maggie.

Woodrow współczuł jej z całego serca. Objął ją i przytulił.

- Niestety, nic, co bym powiedział, nie zmniejszy twojego bólu. Musisz sama się z nim uporać. - Wziął głęboki oddech. - Chciałbym umieć ci jakoś pomóc, żeby ci było łatwiej.

Elizabeth objęła go w pasie i potarła policzkiem o jego pierś.

- Pomagasz - szepnęła. - Naprawdę mi pomagasz.

Tylko ją przytulał, ale jeśli tego potrzebowała, był gotów tak ją obejmować przez całą noc. Jakoś wyczuwał, że życie poskapiło jej należnej porcji serdeczności. Trzymając ją w ramionach, oparł brodę o czubek jej głowy i zaczął się łagodnie kołysać. Nad nimi błyszcząły gwiazdy, księżyc rzucał miękkie srebrne światło na ziemię.

Powoli poczuł, jak jej napięcie ustępuje, a nadchodzi zmęczenie. Potarł policzkiem jej włosy.

- Jesteś zmęczona. Zaprowadzę cię do łóżka, żebyś się trochę przespała.

Przywarła do niego mocniej.

- Nie. Proszę. Jeżeli zasnę, znów coś będzie mi się śniło.

Strach w jej głosie powiedział mu, że nie spodziewa się miłych snów. Wziął ją na rękę.

- No, ale przynajmniej się połóż.

Zaniósł ją do kępy drzew za domem i położył na hamaku zawieszonym między nimi. Potem sam też się położył i ułożył sobie jej głowę na ramieniu.

- Lepiej?

Przytuliła się, kładąc rękę na jego piersi.

- O wiele.

Podłożył sobie rękę pod głowę i wpatrzył się w niebo. W oddali zamuczała któraś z jego krów. W bliższej odległości pohukiwała sowa. Zawsze lubił słuchać odgłosów nocy.

- Jak tu spokojnie - szepnęła Elizabeth.

- Tak - odpowiedział.

Ukołyszany ruchami hamaka, zamknął oczy.

- Woodrow? - odezwała się z wahaniem.

- Tak?

Poczuł, jak nerwowo zaciska palce na guziku jego koszuli.

- Mów - zachęcił ją, widząc, że trudno jej się na to zdobyć.

Westchnęła i uniosła się na łokciu.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale jestem ciekawa czy... czy byłeś kiedyś żonaty?

- Nie - odparł. - A dlaczego pytasz?

Z powrotem się położyła, znów układając głowę na jego ramieniu.

- Nie wiem. Po prostu dziwi mnie, że nie masz żony. Jesteś taki miły i troskliwy. Taki serdeczny. Wydawałoby się, że jakaś kobieta już dawno powinna była cię upolować.

Roześmiał się.

- Kobieto, chyba nie mówisz o mnie!

Pogłaskała go po piersi.

- O tobie - zapewniła. - Jesteś właśnie taki.

- No dobrze, ale nawet jeżeli tak myślisz, nie rozpowiadaj tego wszędzie. Zrujnujesz mi reputację.

Odchyliła głowę, by na niego spojrzeć.

- Jaką reputację?

- Że jestem najbardziej małostkowym i egoistycznym draniem w całej okolicy.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie.

Roześmiał się.

- Zadałaś mi pytanie, a teraz ja chciałbym zrobić to samo. Byłaś kiedyś zameżna?

Elizabeth położyła się na plecach i popatrzyła w niebo.

- Nie. Ale byłam zaręczona.

Zmarszczył czoło, przypominając sobie, jak mu mówiła, że niedawno miała narzeczonego, ale już go nie ma.

- Co się stało?

- Zwróciłam mu pierścionek.

- Dlaczego?

- Nie chciałam, żebym tu przyjeżdżała. Myślałam, że pojedę z nim do Europy, tak jak planowaliśmy.

Co znaczyło, że zerwała zaręczyny dopiero kilka dni

temu. Ciekawe, czy jeszcze kocha tamtego. Woodrow niezbyt dobrze rozumiał, dlaczego chce to wiedzieć.

- Żałujesz?

Nie odpowiadała i zląkł się, że zadając to pytanie, przekroczył dopuszczalne granice.

Ale wtedy spojrzała na niego.

- Nie. Niczego nie żałuję.

Patrzyła na niego tak, jakby chciała mu powiedzieć więcej. Czyżby dawała jakąś wskazówkę?

Ale on nigdy nie był dobry w rozumieniu aluzji. Mówił, co myślał, i po ludziach spodziewał się tego samego. Przyciągnął ją do siebie.

- Mam nadzieję, że dobrze cię rozumiem - szepnął.

W chwili, gdy ich usta się spotkały, wiedział, że dobrze zrozumiał jej przesłanie. Objęła go, przyciągając bliżej, i z płynącym z głębi serca westchnieniem rozchyliła usta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Elizabeth pisnęła, gdy Woodrow pociągnął ją na siebie tak energicznie, że hamak dziko pod nimi zatańczył.

Chichocząc chwycił ją za pośladki i przytrzymał.

- Nie bój się. Nie spadniesz.

Połuźniła kurczowy chwyt na linach hamaka.

- Ale jeżeli spadnę, pociągnę cię za sobą - ostrzegła.

Gdy patrzył jej w oczy, rozbawienie powoli zniknęło z jego twarzy. Zdjął jej okulary, a potem uniósł głowę i musnął ustami jej wargi.

- Tak mi tu z tobą dobrze - szepnął.

Łzy zakręciły jej się w oczach, poczuła napływ pożądania. Nikt jeszcze nigdy nie powiedział jej nic takiego. Oczywiście wiedziała, że to nie było wyznanie miłości. Nie była głupia. Nie uwierzyłaby, gdyby Woodrow wyznał jej miłość.

Tak... tak było o wiele lepiej.

On też był podniecony. Czowała to, leżąc na nim. A ona tak bardzo go pragnęła. Jednak...

Nie mogąc, pomyślała z poczuciem winy. Był dla niej taki dobry. Była mu winna uczciwe zachowanie.

Wsunął ręce pod pasek jej spodni i znów uniósł głowę, by ją pocałować, ale ona zasłoniła usta palcem.

- Woodrow... - zaczęła z wahaniem. Zająknęła się, niepewna, jak mu wytłumaczyć to, co do niego czuje.

- Ja... ja muszę ci coś powiedzieć.

- Jesteś w ciąży.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie odgadłem?

- Nie - przyznała, powstrzymując śmiech. - Dlaczego coś takiego przyszło ci na myśl?

Wzruszył ramionami i założył jej pasmo włosów za ucho.

- Jesteś taka poważna, jakbyś bała mi się powiedzieć to, co chcesz, żebyśmy wiedzieli. - Znów wzruszył ramionami. - Cięża wydawała mi się lepszym wyjaśnieniem niż co innego.

- To znaczy co?

- Że nie chcesz być ze mną.

Serce jej topniało. Wzięła jego głowę w ręce i przyciągnęła do swojego policzka.

- Och, nie. Nie o to chodziło. Lubię być z tobą. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Po prostu... - Zagryzła wargę, nie wiedząc, jak opowiedzieć mu o swoich pogmatwanych uczuciach. - Woodrow - powiedziała wreszcie - stałeś się dla mnie kimś ważnym. Nawet jeżeli tego nie widzisz, wypełniasz pustkę w moim życiu, pustkę, która powinna była być wypełniona już dawno, dawno temu. Ale to nie może być powodem, dla którego chcę być

z tobą. Nie jedynym powodem. To by było egoistyczne z mojej strony.

Powoli wysunął ręce spod jej paska.

- A więc źle cię zrozumiałem.

Nerwowo pokręciła głową.

- Nie. Nie zrozumiałeś mnie źle. Chcę się z tobą kochać. Ale nie chcę cię wykorzystać.

Na jego ustach pojawił się miękki uśmiech. Objął jej twarz rękami.

- Dlaczego nie pozwolisz, żebym to ja decydował, czy czuję się wykorzystany?

- Ale wtedy będzie za późno! - wykrzyknęła. - Szkoda już się stanie. - Ukryła twarz w rękach. - Gdybym nie była taką emocjonalną ruiną, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

Odciągnął jej ręce od twarzy.

- Nie jesteś ruiną. Biorąc pod uwagę wszystko, co musiałaś przeżyć w ostatnich dniach, martwiłbym się o ciebie, gdybyś była spokojna. - Przyciągnął jej rękę do ust i ucałował każdy palec. - A jeżeli ustalimy, że oboje wchodzimy w to bez żadnych oczekiwań czy zobowiązań? Co byś na to powiedziała?

Przez chwilę na niego patrzyła, a potem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Powiedziałabym, że to wspaniały pomysł.

- Mam jeszcze inny.

Uśmiechając się, przebiegł palcami po jej plecach.

- Chodźmy do domu.

Na widok tego, co zobaczyła w jego oczach, po jej plecach przebiegł dreszcz.

- To też jest wspaniały pomysł.

Zszedł z hamaka i wziął ją na ręce. Elizabeth ze śmiechem zacisnęła ręce na jego karku i mocno się trzymała.

W sypialni ułożył ją na łóżku, potem sam się koło niej położył. Patrząc jej w oczy, rozpiął górny guzik bluzki.

- Wygodnie ci? - spytał.

Przełknęła ślinę. Nagle trudno jej było oddychać.

- Tak.

Zanim dotarł do ostatniego guzika, uzmysłowiła sobie, że wcale nie jest jej wygodnie. Nogi jej drżały, ciało płonęło, tętno tłukło się jak szalone. Z czcią położył rękę na jej koronkowym staniku, pochylił głowę i zaczął całować rowek między piersiami.

Elizabeth powoli się budziła. Przeciagnęła się z rozkoszą. Czuła się cudownie po nocy pełnej miłości. Z zadowolonym westchnieniem spojrzała na drugą stronę łóżka, spodziewając się zobaczyć tam Woodrowa. Ale nie było go. Uśmiechając się z rozmarzeniem, pogłaskała miejsce, gdzie odcisnęło się jego ciało. Zadrzała ze szczęścia, przypominając sobie, co czuła, gdy się w niej poruszał, zmysłową moc jego rąk, gdy dotykał jej w najbardziej intymnych miejscach, wymiatając z jej głowy wszystkie myśli, które nie dotyczyły jego.

Ale nagle ogarnęły ją wątpliwości. Już się nie uśmie-

chała. Dlaczego wstał i jej nie obudził? Czy to znak, że ich noc miłości nie zadowoliła go tak jak ją? Że nie dzielił z nią podniecenia? Radości?

Przestań, nakazała sobie. Wstań i ubierz się. Znajdź go i sama się przekonaj, w jakim jest nastroju, czy żałuje tego, co się stało. A jeśli żałuje...

Żadnych oczekiwań ani zobowiązań, przypomniała sobie. To była jego propozycja, a ona się zgodziła. Przycisnęła rękę do serca.

Ale, och, tak bardzo chciała, by jego wrażenia z nocy dorównywały temu, czego sama doświadczyła.

Znalazła go w stodole. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na stercie siana i karmił z butelki kozłatko. Jej serce zmiękło na widok tak czułej sceny.

- Sierotka? - spytała.

Woodrow spojrział na nią, jego twarz rozjaśniła się w ciepłym, zmysłowym uśmiechu. Puls jej przyspieszył, wszystkie wątpliwości się rozwiały. Głową wskazał miejsce obok siebie.

- Nie - odparł. - Jego mamusia jest tu, w boksie. Ale ma napuchnięte wymiona i nie może karmić.

Usiadła obok Woodrowa i podrapała kozłatko między uszami.

- Biedne maleństwo - szepnęła współczująco. - Mleko w proszku na pewno nie smakuje tak dobrze jak prawdziwe.

Woodrow roześmiał się.

- To jest prawdziwe mleko. Wydoiłem jego mamę i tym karmię małe.

- I będziesz to musiał teraz robić za każdym razem?
- spytała.

- Mam nadzieję, że nie. Za kilka dni małe będzie mogło ssać.

Koźlątko bodnęło pustą już butelkę, jakby prosiło o więcej. Elizabeth roześmiała się.

- Łakome, co?

Woodrow podał jej butelkę i wstał.

- Tak, ale to dobrze - wyjaśnił, stawiając małe obok matki. - Dopóki jest głodne, będzie próbowało ssać.

Elizabeth stanęła obok niego. Znow się roześmiała, widząc, jak małe bodzie matkę.

- Ile ma? - spytała, zdumiona ruchliwością koźlątka.

- Dwa dni. W odróżnieniu od innych zwierząt kozy zaraz po urodzeniu dobrze biegają. Chodź, pokażę ci inne
- powiedział i ruszył w drugi koniec stodoły.

Zaciekawiona poszła za nim. Dotarli do zamkniętej furki, odgradzającej spory kawałek przejścia dzielącego stodołę na dwie części.

- Popatrz na nie - powiedział śmiejąc się. - Zupełnie jak banda pierwszoklasistów pozostawionych bez opieki.

Elizabeth wprost nie mogła uwierzyć swoim oczom. Wydawało jej się, że całe setki koźląt brykają tu i figlują. Kilka gramoliło się na pień drzewa, najwyraźniej po to właśnie tu umieszczony, inne biegały w tę i z powrotem wzdłuż ogrodzenia, bawiąc się we własną wersję berka.

- Są słodkie - szepnęła Elizabeth, i zaraz się roześmiała, wskazując coś palcem. - Widziałeś? Ten mały z brązowym łebkiem podskoczył, zrobił w powietrzu pełny obrót i bez kłopotu wylądował na czterech nóżkach.

Gdy Woodrow nie odpowiedział, spojrzała na niego. Przyglądał się jej z rozrzuwionym uśmiechem.

- O co chodzi? - spytała.

Założył jej pasmo włosów za ucho.

- Lubię, gdy masz rozpuszczone włosy. W tym koku, który zwykle sobie upinasz, wyglądasz jak czyjaś niezamężna ciotka.

Czyli po prostu stara panna, pomyślała Elizabeth. Wystarczająco często słyszała, jak ją tak nazywano, by uwierzyła, że to prawda. Opuściła głowę.

- Do pracy wygodniej mi się tak czesać - wyjaśniła, starając się nie pokazać po sobie urazy.

Palcem uniósł jej brodę, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich prośbę o przebaczenie.

- Nigdy nie byłem dobry w dobieraniu słów. A jeszcze mniej w prawieniu komplementów. Ale to właśnie miał być komplement. - Przyglądał jej się przez chwilę. - Wiesz - powiedział w zamyśleniu - dziś masz ładne kolorki. A błękit twoich oczu wydaje mi się jaskrawszy.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Czyli wieczorem musiałam wyglądać okropnie!

Z uśmiechem objął ją za szyję.

- Wcale nie. Wyglądałaś pięknie. Jesteś piękna - dodał, jakby chciał, żeby dobrze go rozumiała.

Gdy tak patrzyła mu w oczy, po plecach przebiegł jej dreszcz, bo zobaczyła w nich szczerłość. Jeszcze nigdy nikt jej nie powiedział, że jest piękna. Oczywiście wcale tak nie myślała. Jednak sposób, w jaki Woodrow na nią patrzył, sprawił, że naprawdę poczuła się piękna.

Z gardłem zaciśniętym od emocji wspięła się na palce, dla utrzymania równowagi oparła się rękami o jego pierś i pocałowała go.

- Dziękuję.

Objął ją w pasie.

- Wiesz, Elizabeth, jeżeli tak odpowiadasz na komplement, mogę wymyślić jeszcze kilka.

Z udanym oburzeniem stuknęła go w pierś.

- Och, Woodrow. Wszystko zniszczyłeś.

- Co zniszczyłem?

- Komplement. Jeżeli w przyszłości powiesz mi coś miłego, będę się zastanawiała, czy naprawdę tak myślisz, czy też po prostu dopraszasz się o pocałunek.

- Naprawdę będę tak myślał - zapewnił ją. - Zawsze mówię to, co myślę. A jeśli chodzi o dopraszanie się o pocałunki... - Pochylił się ku niej. - Zawsze będę ich pragnął.

Później tego ranka Woodrow i Elizabeth stali przy kuchennym zlewie. Woodrow zmywał po śniadaniu, Elizabeth wycierała naczynia.

- Co dziś robimy? - spytał.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem, jak się do tego zabrać, ale chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o Renee. Na przykład dlaczego mieszkała w Killeen.

- Więc porozmawiaj z Maggie. Pracowała z nią, no i przyjaźniły się.

Na wspomnienie Maggie Elizabeth szybko odwróciła się, by włożyć filizanki do szafki. Ale Woodrow zdążył zobaczyć, jak drżą jej usta, i zrozumiał, że powiedział nie to, co trzeba. Maggie była ostatnią osobą, z którą Elizabeth chciałaby rozmawiać. I nie miał jej tego za złe. Maggie nie dość, że zachowała się tak, że Elizabeth mogła jej mieć serdecznie dość, to na dodatek mówiła o sobie jak o matce dziecka, zupełnie jakby celowo chciała sypać sól na otwarte rany.

- Albo — zaproponował szybko - mogłabyś porozmawiać z właścicielką „Longhorna”. Właśnie tam obie pracowały.

Usłyszał westchnienie ulgi. Elizabeth odwróciła się do niego.

- Woodrow, jesteś genialny! Nie przyszło mi do głowy, żeby spotkać się z pracodawczynią Renee.

Woodrow wyciągnął zatyczkę ze zlewu, a potem wytarł ręce.

- Więc jedziemy. Nie ma co tracić czasu.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie musisz iść ze mną do niej. Na pewno masz mnóstwo pracy. Ale byłabym wdzięczna za podwiezienie do miasta - dodała. - Tam wypożyczę sobie samochód.

Objął ją w pasie i poprowadził do drzwi.

- Nie będziesz wypożyczać żadnych samochodów - powiedział. - Przecież ja mam doskonałego pikapa, a także czas, by zawieźć cię wszędzie tam, gdzie będziesz chciała.

Elizabeth stała przed „Longhornem” i patrzyła na odrapaną fasadę, zaszokowana, że jej siostra mogła pracować w takim miejscu. Gdyby nie to, że był jasny dzień, a Woodrow stał obok niej, nigdy by się nie ośmieliła tu wejść.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - powiedział Woodrow, jakby czytał w jej myślach. - Tego rodzaju miejsca zawsze wyglądają lepiej w nocy.

Zawstydzona Elizabeth wzięła go pod rękę i przytuliła się do niego.

- Pewnie myślisz, że jestem snobką.

- Nie. Ale nie jest to lokal, w którym spodziewałbym się spotkać kobietę taką jak ty.

Spojrzała na krzykliwy neon. Przedstawiał krowę rasy longhorn.

- A ja nigdy bym się nie spodziewała, że Renee mogłaby tu pracować - powiedziała, wzdychając ze smutkiem. Spojrzała na Woodrowa, jakby zależało jej, by ją zrozumiał. - Nie tak nas mama wychowała. Nie byłyśmy bogate - dodała szybko - ale mama bardzo rygorystycznie traktowała sprawę naszego prowadzenia się. Dobrze wychowane dziewczyny nie palą, nie piją, nie przeklinają ani nie chodzą z chłopcami, którzy to robią. Tak nam zawsze

mówiła. - Pokręciła ze smutkiem głową. - Gdyby mama wiedziała, że Renee wybrała sobie takie życie, to by ją zabiła.

- Czasami człowiek nie ma żadnego wyboru - powiedział Woodrow ostrożnie. - Popatrz tylko na Maggie. Wiem, że nie przypadłyście sobie do gustu, ale to miła kobieta. Ma dobre serce. Kilka razy w życiu jej się nie powiodło, została sama i bez pieniędzy, dzięki którym mogłaby się wygrzebać z dołka, w jaki wpadła. - Wskazał budynek przed sobą. - Ale Dixie, właścicielka tego lokalu, dała jej szansę, by mogła znów stanąć na nogi. Chcę przez to powiedzieć, że fakt, iż Renee tu pracowała, nie świadczy jeszcze, że była złym człowiekiem. Może nie miała innych możliwości.

Elizabeth przez chwilę na niego patrzyła, potem wspięła się na palce i pocałowała go.

- Woodrow, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

W zakłopotaniu wzruszył ramionami.

- Zrobiłabyś to, co trzeba. - Położył jej rękę na plecach i lekko popchnął. - No to jak? Wchodzimy dowiedzieć się, co Dixie ma nam do powiedzenia?

Pchnął drzwi, które nie były zamknięte na klucz, i wciągnął Elizabeth do środka.

- Jest tu kto? - zawołał, zdejmując kapelusz.

- Zależy, kto pyta - odkrzyknęła jakaś kobieta szorstko.

- Woodrow Tanner, proszę pani. Ja i moja przyjaciółka chcielibyśmy porozmawiać, jeśli może nam pani poświęcić chwilę.

Na korytarz wyszła kobieta. Ubrana w obcisłe dzinsy i czarny podkoszulek z nazwą lokalu, wydawała się całkiem zdolna do samodzielnego prowadzenia baru. Niski wzrost równoważyła nieposkromioną energią. Z płomieniem rudymi włosami i papierosem zwisającym z kącika ust wyglądała tak, jakby była w stanie poskromić każdego osiłka, który odważyłby się wzniecać w jej barze burdy.

Zmrużyła jedno oko, by uchronić je od dymu wijącego się z papierosa, i przyglądała się Woodrowowi.

- Masz cholerne szczęście, że nie skłamałeś co do tego, kim jesteś - powiedziała ochrypłym od whisky głosem.
- Wystarczy na ciebie spojrzeć, by wiedzieć, że jesteś jednym z Tannerów.

Chichocząc Woodrow podszedł do niej i podał rękę.

- Miło mi poznać, pani Dixie. Maggie mnóstwo mi o pani opowiadała.

Jeszcze raz mu się przyjrzała, zanim podała mu rękę.

- Wy, chłopcy, lepiej, żebyście dobrze traktowali tę dziewczynę. Bo jeżeli nie...

Nie. skończyła ostrzeżenia. Ale nie musiała. Woodrow zrozumiał, że gdyby on albo któryś z jego braci skrzywdził Maggie, Dixie pociągnęłaby delikwenta do odpowiedzialności.

- Maggie należy do rodziny Tannerów - powiedział poważnie. - A my dbamy nawzajem o siebie.

Dixie jeszcze chwilę bacznie mu się przyglądała, a potem energicznie skinęła głową, jakby Woodrow zdał jakiś egzamin.

- Po to właśnie istnieje rodzina - stwierdziła i przeniosła spojrzenie na Elizabeth. - Ty też nie musisz mi się przedstawiać. Jesteś siostrą Star.

- Renee - poprawiła Elizabeth automatycznie. - Skąd pani wie?

- Po pierwsze - mówiła Dixie, prowadząc ich do gabinetu - jesteś do niej podobna. - Usiadła za biurkiem zasłanym papierami i zdusiła papierosa w przepełnionej popielniczce. Potem oparta się wygodnie i splótła ręce na brzuchu. - Po drugie, Maggie mi powiedziała, że przyjechałaś. - Zamilkła, zaciskając z niechęcią usta.

Woodrow zorientował się, że Dixie dzieli z Maggie obawę, że Elizabeth odbierze jej dziecko. Słabsza kobieta dałaby się nastraszyć złości w spojrzeniu Dixie. Ale, ku zdumieniu - i zachwytowi - Woodrowa, Elizabeth uniosła brodę i twardo spojrzała Dixie w oczy.

- Nie przyjechałam tu po to, by komuś wyrządzać krzywdę.

- Więc po co?

Chociaż Elizabeth nie spuściła wzroku, Woodrow zauważył, że jej ręce, splecione na kolanach, drżą.

- Miałam nadzieję, że pani mi powie coś o mojej siostrze.

- To była twoja siostra, nie moja - odparła Dixie sarkastycznie. - Wydawałoby się, że powinnaś wiedzieć o niej więcej niż ja.

Elizabeth, przytłoczona tym atakiem, spuściła głowę. Ale gdy ją znów uniosła, w jej oczach płonął ogień.

- Renee - czy Star, jak ją tu nazywacie - zerwała wszystkie więzy z rodziną. Ostatni raz widziałam ją pięć lat temu, gdy przyjechała na pogrzeb mamy. Bardzo chciałabym powiedzieć pani, że przyjechała z miłości do mamy, a jeśli nie, to przynajmniej z szacunku. - Jej broda zadrżała, ale twardo mówiła dalej: - Ale przyjechała tylko po to, by zażądać swojej części spadku.

Woodrow nie był pewny, ale wydawało mu się, że spojrzenie Dixie trochę złagodniało. Jednak ta twarda dama nie życzyła sobie, by ktoś odgadł, że ma czułe serce.

- Więc co chcesz wiedzieć? - spytała szorstko.

Elizabeth bezradnie machnęła ręką.

- Wszystko, co może mi pani powiedzieć. Gdzie mieszkała. Z kim się przyjaźniła. Co robiła. Dlaczego tu przyjechała. Cokolwiek.

Dixie w zamyśleniu sięgnęła po paczkę papierosów.

- Star nie miała przyjaciół - powiedziała. Wsadziła papierosa do ust i zapaliła go. Głęboko wciągnęła dym, potem go wydmuchała. - Oczywiście poza Maggie.

- A jeśli chodzi o mężczyzn? - Elizabeth spojrzała przeproszająco na Woodrowa. - Wiem, że miała romans z jego ojcem.

- On romansował z każdą kobietą, jaka mu się nawinęła - mruknęła Dixie. - Jeżeli poczujesz się od tego lepiej, powiem ci, że to jedyny mężczyzna, z którym Star się zadawała. - Zaciśnęła usta i rzuciła Woodrowowi ostre spojrzenie. - Kobiety na ogół uważają, że mężczyznom z rodu Tannerów nie można się oprzeć.

Elizabeth zaczerwieniła się. Ona też nie zdołała się oprzeć.

- Ale dlaczego zamieszkała w Killeen? - spytała, żeby jak najszybciej zmienić temat.

Dixie parsknęła.

- Z takich samych powodów jak wiele samotnych kobiet. Przyjechała tu za jakimś wojskowym, który stacjonował w St. Hood. Mówiła mi, że poznała go w Las Vegas i on ją poprosił, by przyjechała i zamieszkała z nim. Ale zanim tu dojechała, jego już nie było. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem, czy to prawda. Ale nie po raz pierwszy słyszałam taką historyjkę.

Elizabeth siedziała w zamyśleniu, usiłując przyjąć do wiadomości słowa Dixie.

Dixie zmarszczyła czoło, zgasiła papierosa i zaraz zapaliła następnego.

- Nigdy nie powiedziała, czemu zdecydowała się złożyć swoje nadzieje na lepszą przyszłość w osobniku takim jak Buck Tanner. Ale ja mam swoje podejrzenia.

- Chodziło jej o pieniądze? - spytała Elizabeth prosto z mostu.

- To też. Wyglądała mi na poszukiwaczkę fortun. Bez obrazy - dodała szybko, jakby bojąc się, że uraziła Elizabeth.

Elizabeth westchnęła z żalem.

- Nie obraziłam się. Jestem świadoma wad mojej siostry.

- Fakt. Miała ich mnóstwo - stwierdziła Dixie ponuro.

- Ale nie sądzę, by do Bucka przyciągnął ją jedynie jego majątek. Myślę, że szukała sobie... zastępczego ojca.

Elizabeth chwilę nad tym rozmyślała.

- Może i tak było - zgodziła się. - Renee była niemowlęciem, gdy nasz ojciec umarł.

- Widywałam już takie kobiety - powiedziała Dixie, mądra doświadczeniem zebranych przez dwadzieścia lat prowadzenia baru. - Młodość upływa im na obalaniu autorytetów, a potem kończą z jakimś starym przykiem, bo wydaje im się, że taki może otoczyć je miłością i dać poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo pragną. - Pomachała papierosem. - Ha! Czy wy słyszycie, co ja mówię? Zupełnie jakbym była jedną z tych przemądrzałych psycholożek.

- Byłaby pani dobrym psychologiem - powiedziała Elizabeth szczerze i zwróciła się do Woodrowa: - Chyba zabraliśmy już Dixie dość czasu. - Wstała i z uśmiechem podała jej rękę. - Jestem pani naprawdę bardzo wdzięczna. Nie tylko za to, że zechciała pani dziś porozmawiać ze mną, lecz także za wszystko, co pani zrobiła dla Renee.

Dixie zaczerwieniła się i mocno zaciągnęła papierosem. Potem z impetem zgasiła go w popielniczkę.

- Tylko niech wam się nie wydaje, że jestem z tych, co to ich serce krwawi na widok zbłąkanej owieczki. Dziewczyny przychodzą i pytają, czy miałabym dla nich pracę. Jeżeli akurat mam wolne miejsce, zatrudniam je. I wierzcie mi, gdy już którąś zatrudnię, zasługuje na pensję, jaką jej płacę. A co robi z wolnym czasem, to nie moja sprawa.

Elizabeth przygryzła usta, by ukryć uśmiech. Dixie robiła wszystko, co mogła, by nie pokazać, że ma czułe serce.

- A mnie się wydaje, że pani traktuje każdą z tych dziewczyn jak swoją bliską krewną.

Dixie wyzywająco uniosła głowę.

- Gdy się nie ma rodziny, trzeba ją sobie jakoś stworzyć. Pokrewieństwo nie ma znaczenia. - Walnęła się pięścią w pierś. - Ważne jest to, co ma się tutaj, w sercu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Woodrow poszedł zająć się inwentarzem i Elizabeth miała swobodną chwilę, by przemyśleć to, co Dixie powiedziała jej o Renee. Z faktami jakoś jeszcze się pogodziła, ale wyjaśnienie, dlaczego Renee wybrała Bucka Tannera na kochanka, bardzo ją poruszyło, bo zgadzała się z analizą Dixie. Jako lekarka rozumiała psychiczną potrzebę, która sprawia, że młoda kobieta woli starszych mężczyzn. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że Renee ucierpiała z powodu braku ojca. Przecież była niemowlęciem, gdy ich ojciec umarł, więc nie powinna mieć żadnych związanych z nim wspomnień.

Uderzyła ją pewna myśl. Jej siostrzenica też nigdy nie pozna swojego ojca, tak jak Renee nie poznała swojego. Czy historia się powtórzy? Czy Laura wybierze taką samą drogę? Bunt, ucieczki. Czy jej życie skończy się tak samo tragicznie jak życie Renee?

Elizabeth ukryła twarz w rękach. Przestań! - nakazała sobie. Nie ma żadnego powodu, by sądzić, że brak ojca wywrze na Laurę taki sam wpływ jak na Renee. Przecież ona sama też wychowywała się bez ojca i nie zesłała na manowce. Na pewno na bunt Renee złożyły się też inne

powody, nie tylko brak ojca. Niestety, w tej chwili Elizabeth żaden nie przychodził do głowy. Postanowiła sobie, że gdy tylko będzie miała okazję, przestudiuje uważnie sprawę młodzieńczych buntów i ich przyczyn.

Wstała i poszła do pralni, by przenieść rzeczy z pralki do suszarki. Nie planowała, że zostanie tu tak długo, więc wzięła za mało ubrań i czyste rzeczy już jej się kończyły.

Była już od jakiegoś czasu w pralni, gdy dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Serce jej zadrżało. Woodrow. Wrócił do domu. Nie chciała zastanawiać się, dlaczego sama świadomość, że jest w pobliżu, napełnia ją taką radością, takim podnieceniem. Wołała nie analizować swoich uczuć. Teraz wystarczyło jej po prostu czuć. Wiedzieć, że potrafi tak się zaangażować, że może otwarcie okazywać swoje uczucia bez obawy, że zostanie odrzucona czy potępiona.

W przeciwieństwie do Renee w młodości nie buntowała się, nie uciekała i na pewno w swoich stosunkach z mężczyznami nie szukała zastępczego ojca. Ale przeżycia z dzieciństwa też wycisnęły na niej swoje piętno. Pragnęła teraz rodziny, miłości, ciepła i bezpieczeństwa, których tak bardzo jej wtedy brakowało. I do tego właśnie tęskniła w swoim związku z Tedem, ale się rozczarowała.

Natomiast Woodrow... W ciągu trzech krótkich dni doświadczyła więcej, czuła więcej, niż podczas trzech długich lat, jakie spędziła z Tedem.

Czyżby się zakochała?

Przycisnęła rękę do serca. Nie, powiedziała sobie. A może jednak?

- Elizabeth, gdzie jesteś?

Podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Zaraz przyjdę! - zawołała. Chwilę jeszcze odczekała, żeby całkiem się opanować, i poszła do domu.

Woodrow siedział na brzegu kanapy, właśnie zdejmował buty. Na ten widok stopniało jej serce.

- Cześć.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Cześć. - Nie odrywając od niej wzroku, wstał i rozpiął koszulę. - Przykrzyło ci się podczas mojej nieobecności?

Pokręciła głową. W ustach jej wyschło, gdy patrzyła, jak wyciąga poły koszuli ze spodni. Było to takie męskie. Tak nieprawdopodobnie, niesamowicie męskie. Chciała go dotknąć... Chciała przyłożyć rozpostarte dłonie do tej szerokiej piersi, przeciągnąć palcami między czarnymi włoskami. Chciała poczuć pod rękami mięśnie ramion, chciała go smakować. Nie tylko usta. Chociaż i przy samych ustach mogłaby spędzić całe godziny. Chciała poznać zapach jego skóry, przeciągnąć po niej językiem i odkryć jej rozmaite tekstury...

Zacisnęła ręce, paznokcie wbiły się głęboko w ciało. Skąd jej się wzięły takie zmysłowe myśli? Nigdy nie była agresywną kochanką. Nawet nie wiedziała, że takie pragnienia tkwią gdzieś w niej, do tej pory głęboko uspięne.

Ale teraz się tego dowiedziała.

- Elizabeth? Dobrze się czujesz?

Słyszając zaniepokojenie w jego głosie, wzięła głęboki oddech i popatrzyła mu w oczy.

- Nie - powiedziała i ruszyła ku niemu. - Ale zaraz będzie dobrze. - Patrząc mu cały czas w oczy, położyła mu ręce na piersi. - Woodrow, pragnę cię.

Zobaczyła błysk zdumienia w jego oczach, ale jego ciało już reagowało. Gdy poprzednim razem się kochali, odnosił się do niej delikatnie, jakby była figurynką z kruchej porcelany, którą mógłby strzaskać najłżejszy podmuch. Ale teraz nie chciała od niego delikatności. Chciała seksu. Gorącego, wstrząsającego seksu.

Ze spojrzeniem wbitym w jego oczy rozpostarła ręce na jego piersi. Miał takie piękne ciało. Takie silne. Zachwycona, przeciągnęła palcami między kręconymi włoskami wokół brodawek. Nie mogąc się powstrzymać, przycisnęła usta do miejsca, gdzie biło serce, i musnęła językiem gorącą skórę. Poczowała smak soli, ciepło, usłyszała dziki łomot jego serca. Opuściła rękę i zamknęła palce na pobudzonej męskości.

Woodrow wzdrygnął się, zeszywniał, a potem jęknął, gdy przesuwiała rękę w górę i w dół.

- Jeżeli to sen - sapnął - proszę, nie budź mnie - wyszeptał i pociągnął ją na kanapę.

Słaby jak nowo narodzone dziecko, odchylił głowę na posłanie. Poczował, jak usta Elizabeth wyginają się w uśmiechu, usłyszał mrużenie rozkoszy, zmysłowy dotyk jej rąk na ramionach.

- Elizabeth? - szepnął bezsilnie. - Czy ty zażyłaś jakiś środek, kiedy mnie nie było?

Roześmiana, przesunęła ustami po jego szyi, a potem pokręciła głową.

Nie mogąc zrozumieć, skąd ta nagła odmiana, podniósł głowę, by się jej przyjrzeć.

- Więc to musi być efekt oddychania czystym wiejskim powietrzem - stwierdził, widząc jej zdrową cerę i błyszczące oczy.

Spojrzała na niego nieśmiało.

- Chyba się nie skarżysz?

- Och, nie! Za każdym razem, kiedy zechcesz przejąć inicjatywę, będzie to mile widziane.

Zadzwonił telefon.

- Nie odpowiem - mruknął Woodrow ze złością.

- Ale to może być coś ważnego. - Elizabeth wyciągnęła się, by dosięgnąć słuchawki, i przyłożyła mu ją do ucha.

- Tak? - warknął.

Przez chwilę słuchał w milczeniu.

- Teraz? - W jego głosie nie było zachwytu. - No, dobrze. Przyjedziemy.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona, gdy odłożył słuchawkę.

Westchnął i pokręcił głową.

- Nie. To był Ash. Wszyscy moi bracia przyjechali do domu. Chcą cię poznać.

Ze spojrzeniem utkwionym w szosę Elizabeth spytała niepewnie:

- Dlaczego chcą mnie poznać?

Woodrow uspokajająco poklepał ją po kolanie.

- Nie denerwuj się tak. Oni nie gryzą.

- Wiem, i nie to mnie niepokoi.

- Więc co?

Zacisnęła ręce na kolanach.

- Czuję się tak, jakbym została wezwana na dwór królewski na inspekcję albo coś w tym rodzaju.

Woodrow roześmiał się.

- Tannerowie nie są królami, zapewniam cię. - Objął ją i przyciągnął do siebie. - Po prostu chcą cię poznać. To wszystko.

- Łatwo ci mówić - powiedziała żałośnie. - To nie ciebie będą oglądać.

Gdy dojechali, przed domem stało już kilka samochodów.

- Wygląda na to, że są wszyscy. Nawet Whit.

Zaparkował obok auta Reese'a.

- Gotowa? - spytał, sięgając do klamki.

Elizabeth ze ściśniętym gardłem skinęła głową.

Wysiedli, Woodrow położył jej rękę na plecach i poprowadził do domu.

Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze zdążyli do nich dojść.

- Już są! - zawołał Ash przez ramię, zbiegł ze schodków i wziął rękę Elizabeth w obie dłonie.

- Maggie właśnie dzwoniła. Miałaś rację. To była różyczka - powiedział.

- Nie ma jej? - Elizabeth poczuła, jak ogarnia ją panika. Będzie w pokoju z całym stadem mężczyzn, bez wsparcia ze strony chociaż jednej kobiety.

- Pojechała z małą do naszego lekarza. Dzwoniła kilka minut temu i powiedziała, że potwierdził twoją diagnozę.

Elizabeth wiedziała, że to śmieszne, bo przecież sama zaproponowała, by poradzili się swojego lekarza. Ale fakt, że chcieli potwierdzić jej opinię, z jakichś niezrozumiałych powodów sprawił jej przykrość.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Cieszę się, że to nic poważniejszego.

Nadal trzymając ją za rękę, Ash pociągnął ją do domu.

- Chodź, poznasz pozostałych.

Elizabeth zdziwiła się, gdy Ash minął drzwi bawialni, w której byli podczas pierwszej wizyty, i poprowadził do gabinetu. Pomyślała, że może nie chodzi tu tylko o spotkanie towarzyskie.

Na progu gabinetu stanęła jak wryta. Poczowała się tak, jakby z pokoju zostało wysane całe powietrze. Bracia Tannerowie zerwali się na nogi jak jeden mąż, pięciu Tannerów, wliczając Asha i Woodrowa. Roztaczali aureę władzy, byli tak przytłaczająco męscy, że zabrakło jej tchu.

Ash puścił jej rękę i objął za ramiona najbliższego stojącego mężczyznę.

- To - powiedział - jest doktor Reese Tanner.

Bracia byli do siebie uderzająco podobni. Takie same kruczoczarne włosy. Takie same oczy o głębokim błękitcie. Ale nie wyglądali jednakowo. Najwyraźniej każdy miał

zupełnie inną osobowość, która wymodelowała ich rysy tak, że każdy był jedyny w swoim rodzaju.

Widząc sztywną postawę Reese'a, pomyślała, że jest mniej spontaniczny niż Ash, niemal zamknięty w sobie. Ale tak samo niecierpliwy. Jednak manieri miał nieskazitelne. Podeszedł o krok.

- Jestem Reese - powiedział, dając do zrozumienia, że nie oczekuje formalnego zachowania.

- Elizabeth - przedstawiła się.

- A ten - powiedział Ash, podchodząc do kolejnego brata - to Rory. - Czule pogłaskał go po brodzie. - Nasz beniaminek. Przez to jest zepsuty do szpiku kości.

Rory wziął rękę Elizabeth w swoje dłonie i mrugnął do niej.

- Niech pani nie wierzy w ani jedno jego słowo. Jest zazdrosny, bo mnie przypadła cała mądrość i uroda rodziny.

Rzeczywiście, jest przystojny, pomyślała, zauroczona jego oczami. Były niebieskie, tak samo jak oczy braci, ale patrzyły łagodniej, błyskały w nich iskierki śmiechu. Zanim zorientowała się, co chce zrobić, podniósł jej rękę do ust i pocałował.

- Odczep się od niej - warknął Woodrow.

Rory popatrzył na brata, przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie, a potem odwrócił się, mrużąc pod nosem:

- Jak to się dzieje, że to ty zawsze pierwszy je poznajesz?

Zdziwiona tą niezrozumiałą uwagą, Elizabeth nie od razu zauważyła, że Ash prowadzi do niej następnego brata.

- No i ostatni - powiedział. - Whit.

Chociaż również bardzo przystojny, nie był podobny do pozostałych Tannerów. Oni byli brunetami, on miał blond włosy, rozjaśnione słońcem. I był nieśmiały. Elizabeth poznała to po sposobie, w jaki wpatrywał się w swój kapelusz, nerwowo miętosząc brzeg ronda.

Gdy wreszcie spojrzął na nią, okazało się, że oczy ma jak głębokie stawy w kolorze starej whisky. Oczarowana jego nieśmiałością, wyciągnęła do niego rękę.

- Witaj, Whit. Jestem Elizabeth.

Na policzki wystąpiły mu chłopięce rumieńce.

- Miło mi panią poznać.

Gdy formalnościom stało się zadość, Ash zapraszająco wyciągnął rękę.

- Elizabeth, zechcesz usiąść?

Rozejrzała się po pokoju i dopiero wtedy spostrzegła, jak ustawiono kanapę i krzesła. Nie, pomyślała. To nie jest wizyta towarzyska.

Wybrała krzesło stojące najbliżej. Woodrow szybko usiadł obok niej, wyprzedzając Rory'ego, który miał ten sama zamiar. Rory zajął miejsce na kanapie, obok Reese'a. Whit nadal stał, w pewnej odległości od reszty, oparty ramieniem o ścianę i z kapeluszem w ręku.

Jedyne wolne krzesło, to za biurkiem, zostawili dla Asha. Ale on przysiadł na brzegu biurka i, opierając ręce na udach, uśmiechnął się uprzejmie.

- Na pewno zastanawiacie się, czemu was tu dziś wszystkich zaprosiłem - zaczął.

Elizabeth rozejrzała się po obecnych, a potem skinęła głową.

- Tak. Muszę przyznać, że jestem ciekawa.

Ash wziął głęboki oddech.

- No więc, żeby od razu wyłożyć sprawę - oznajmił - chodzi mi o Laurę. O jej przyszłość. - Wstał, przeczesał ręką włosy i zaczął przemierzać pokój. - Jak wiesz, twoja siostra prosiła, by podczas jej choroby Maggie zajęła się jej córką, a gdyby umarła, miała ją oddać naszemu ojcu. Jednak ojciec zmarł kilka dni po twojej siostrze, więc Maggie przywiozła Laurę tutaj i zostawiła ze mną i moimi braćmi.

Przerwał wędrówkę po pokoju i spojrzał na Elizabeth.

- No i sprawa się skomplikowała. Maggie i ja pokochaliśmy małą tak, jakby była naszą własną córką, i chcemy ją adoptować. Już byśmy to zrobili, gdyby nie to, że najpierw trzeba załatwić formalności prawne.

Elizabeth poczuła, jak krew w żyłach zmienia jej się w lód.

- Czyli chcesz wiedzieć, czy ja mam zamiar procesować się z wami o przyznanie opieki nad dzieckiem mojej siostry.

Ash wzdrygnął się, słysząc słowa: „procesować się”, ale zaraz pokręcił głową.

- Nie. Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. Każde z nas tutaj - wskazał ręką braci - ma prawo do zajęcia się małą. Przecież to nasza przyrodnia siostra. Ale moi bracia zgodzili się, byśmy to my z Maggie zaadopto-

wali dziecko i wychowali je jak własne. Muszę tylko wiedzieć, czy i ty chcesz tego samego.

Elizabeth nie była na to przygotowana. I chyba nigdy nie będzie.

- Ona nie ma żadnych praw.

Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd dochodził głos. W drzwiach stała Maggie, twarz miała bladą jak płótno, oczy jej płonęły. Gorączkowo przytuliła dziecko do piersi.

- Maggie, uspokój się - powiedział Ash.

- Nie! - krzyknęła i ze złością wmaszerowała do pokoju. - Gdyby Star chciała, żeby Elizabeth zaopiekowała się Laurą, poprosiłaby mnie, żebym ją oddała jej, a nie Buckowi.

Ostry ból przeniknął Elizabeth, otwierając rany, które, jak myślała, dawno już się zagoiły. Wstała, ręce i kolana drżały jej tak, że nie mogła nad tym zapanować.

- Chcę stąd wyjść - powiedziała do Woodrowa i ruszyła do drzwi.

Woodrow przez chwilę patrzył na Maggie, a potem z westchnieniem wstał i poszedł za Elizabeth.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Woodrow rozumiał teraz, co znaczy powiedzenie „między młotem a kowadłem”. Zanim cała ta sprawa dobiegnie końca, ktoś bardzo ucierpi. A niezależnie od tego, kto w końcu wygra, strona przegrywająca zrzuci winę na niego.

Rozdarty między poczuciem rodzinnej lojalności i coraz większą sympatią do Elizabeth, wszedł za nią do domu. Chciałby zrobić coś, co ulżyłoby jej cierpieniu, ale był bezradny.

- Napijesz się czegoś? - spytał, a potem sam się skarcił, widząc, jak żałośnie nieprzystająca do sytuacji była jego propozycja.

Pokręciła głową i podeszła do okna. Wpatrzyła się w przestrzeń, zaciskając ręce wokół talii.

- Wiem, że słowa Maggie bardzo cię zabołały - powiedział ostrożnie. - Ale musisz zrozumieć, że jest przestraszona i mówi, nie myśląc, jaką szkodę jej słowa mogą wyrządzić.

- Jakikolwiek ma powody, powiedziała prawdę. Renee nie chciała, żebym się zaopiekowała jej córką. Gdyby

tego chciała, poprosiłaby Maggie, by przywiozła Laurę do mnie. - W oczach zakręciły jej się łzy, opuściła głowę, przyciskając rękę do ust. - I dlatego tak mnie to boli - szepnęła. - Nie to, co mówiła Maggie, lecz świadomość, że Renee aż tak mnie nienawidziła. Tak bardzo, że nie chciała powierzyć mi swojego dziecka.

Współczując jej z całego serca, Woodrow podszedł i objął ją od tyłu.

- Wątpię, by cię nienawidziła - powiedział, przygaraniając ją do siebie. - Między rodzeństwem bez przerwy zdarzają się konflikty. To nie to samo co nienawiść.

Elizabeth pokręciła głową.

- Nie. Od czasu gdy miała dwanaście lat, bardzo wyraźnie okazywała, co do mnie czuje. Nienawidziła mnie, chociaż nigdy nie zrozumiałam dlaczego.

Woodrow pociągnął ją na kanapę i posadził sobie na kolanach, wtulając jej głowę pod swoją brodę.

- Opowiedz mi o niej - powiedział łagodnie. Miał nadzieję, że mówiąc o siostrze, Elizabeth zdoła uporać się z przeszłością.

Przez długą chwilę nie odzywała się. Gdy wreszcie zaczęła mówić, jej głos był taki cichy, że z trudem ją słyszał.

- Była pięknym dzieckiem o długich, jasnych włosach i fascynujących niebieskich oczach. Wszyscy ją rozpieszczali. Zarówno obcy, jak i znajomi. Miała wrodzony dar oczarowywania ludzi, nikt nie potrafił się jej oprzeć, dawali jej wszystko, czego tylko zapragnęła.

Nasz ojciec umarł, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Nie byliśmy bogaci, i w końcu mama musiała iść do pracy. Gdy byłam w szkole, Renee opiekowała się sąsiadka, ale po szkole i w czasie wakacji ja się nią zajmowałam. Byłam taka młoda... Opieka nad Renee była trochę jak zabawa lalkami. Karmiłam ją, kąpałam, ubierałam w śliczne sukieneczki. Uwielbiała mnie, i ja ją też uwielbiałam. Po jakimś czasie tak się przyzwyczyła do mnie, że nikomu innemu nie pozwalała się sobą zajmować. Nawet mamie. Gdy tylko ktoś próbował, wpadała w szał i krzyczała, że-bym do niej przysłała. W miarę jak rosła, stawała się coraz bardziej wymagająca. I nic, co dla niej robiłam, nie wystarczało... Wiedziałam, że my... że ja ją rozpieszczam i psuję, więc starałam się postępować bardziej stanowczo, surowiej.

Elizabeth ze smutkiem pokręciła głową.

- Ale wtedy już chyba było za późno. Zaczęła się buntować, wymykała się z domu, ubierała się w wyzywający sposób. Ja wtedy byłam w college'u, ale nadal mieszkalam w domu. Mama absolutnie nie wiedziała, jak z nią postępować. A ja próbowałam wszystkiego. Perswazji. Awantur. Nic nie działało. I wtedy uciekła.

Elizabeth zadrżała i mocniej wtuliła się w Woodrowa, jakby od tych wspomnień zrobiło jej się zimno.

- To było straszne. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest ani nawet czy żyje. Po miesiącu wróciła i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, jakby miała pełne prawo po prostu wejść z powrotem do domu i znów z nami miesz-

kać. Mama i ja odczułyśmy taką ulgę, byłyśmy takie wdzięczne, że jest znów w domu cała i zdrowa. Więc nie poniosła żadnych konsekwencji swojego zachowania. Popęłniłyśmy błąd - stwierdziła Elizabeth ze smutkiem. - Wielki błąd. Nie trzeba było długo czekać, by znów uciekła. I jeszcze raz. Za każdym razem jej ucieczki trwały dłużej. A gdy wracała, zachowywała się jeszcze gorzej, była coraz bardziej nieznośna. Okradała mamę i mnie. Nie wiem, na co wydawała te pieniądze. Gdy ostatni raz uciekła, właśnie robiłam dyplom z medycyny i miałam już własne mieszkanie. Mama traciła zdrowie, a Renee wykorzystywała ją bez litości, żądała pieniędzy, wyrabiała w niej poczucie winy, by wycisnąć z niej wszystko, co tylko się dało. W końcu położyłam temu kres. Zajął się finansami mamy, zmuszając przez to Renee, by przychodziła do mnie, kiedy czegoś chciała. Och, jak mnie za to nienawidziła! Wreszcie powiedziała nam obu, mamie i innie, że dla niej przestałyśmy istnieć.

W następnych latach kontaktowała się ze mną od czasu do czasu, na ogół wtedy, gdy popadała w kłopoty i chciała, bym ją z nich wyciągnęła. Nigdy więcej nie poszła do mamy. Nigdy nawet nie zadzwoniła. Ostatnim razem widziałam ją na pogrzebie mamy. Chciałam ją znienawidzić. Nie tyle za to, co zrobiła mnie, lecz za cały ból, jakiego przyczyniła mamie. - Elizabeth odchyliła głowę i spojrzała na Woodrowa. Oczy miała pełne łez. - Ale nie mogłam. Mimo wszystko nadal ją kochałam.

- Jesteś pewna, że możesz zostać sama?

Wzruszona troską Woodrowa, Elizabeth pogłaskała go po policzku. Przykrył jej rękę swoją.

- Możesz wybrać się ze mną. Jadę do miasta po paszę. Nie będę tam długo.

Pokręciła głową.

- Dziękuję, ale naprawdę muszę zadzwonić do gabinetu i sprawdzić, czy nikt mi się nie nagrał. Nie robiłam tego, odkąd tu jestem.

Woodrow włożył kapelusz i podszedł do drzwi, ale jeszcze się zatrzymał.

- Jesteś pewna, że nic ci się nie stanie?

Przewróciła oczami.

- Całkowicie. A teraz czy mógłbyś już sobie iść?

- Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała - powiedział.

- Woodrow!-jęknęła.

- No, już dobrze - mruknął i wyszedł.

Kręcąc głową, Elizabeth poszła do sypialni, gdzie zostawiła telefon.

Już od dobrej chwili słuchała informacji ze swojej poczty głosowej, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Przez chwilę się wahała, czy otworzyć, ale zaraz wyłączyła telefon i pospieszyła do drzwi.

Na progu stała Maggie.

Elizabeth kusiło, by zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Maggie była dla niej od początku wyjątkowo niemiła, więc nie czuła się w obowiązku okazywać jej grzecz-

ność. Ale w jej naturze nie leżało chamstwo. Spytała więc zimno:

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Maggie spojrzała ponad ramieniem Elizabeth w głąb domu.

- Jest Woodrow?

- Nie. Pojechał do miasta po paszę. Przekazać mu coś, jak wróci?

- Właściwie to przyjechałam do ciebie.

Elizabeth ze zdumieniem przyjrzała się Maggie. Teraz zauważyła czerwone plamy na jej policzkach, zaczerwienione oczy. Musiała niedawno płakać. Chociaż serce jej trochę zmiękło, spytała ostro:

- Po co?

Maggie opuściła wzrok.

- Wiem, że nie odnosiłam się do ciebie przyjaźnie. Bardzo cię za to przepraszam. I przepraszam za to, co powiedziałam. O Star, że nie chciała, byś zaopiekowała się jej córką.

- Rzeczywiście, nie byłaś do mnie nastawiona przyjacielsko - przyznała szorstko Elizabeth, a potem ze znużeniem westchnęła. - Ale miałaś rację. Wątpię, by Star - jak ją nazywasz - chciała, żebym to ja wychowywała jej córkę.

Maggie zatkała.

- Tak kocham to maleństwo - wyszeptała przez łyżę.
- Nie mogę znieść myśli, że mogłabym ją stracić.

Łagodniejsza, opiekuńcza strona charakteru Elizabeth

nakazywała, by pocieszyć tę kobietę, ukoić jej lęki. Ale zdrowy rozsądek podszeptął jej, że nie byłoby to uczciwe. Przecież jeszcze nie zdecydowała, jak powinna postąpić w sprawie dziecka swojej siostry.

- Nie wątpię w twoje uczucia dla mojej siostrzenicy - powiedziała, obchodząc temat. - I jestem ci wdzięczna za opiekę, jaką ją otoczyłaś.

Maggie znów załkała, po policzkach popłynęły jej łzy.

- Nie wiem, co zaszło między tobą a Star. Nigdy nie mówiła o swojej rodzinie. Ale znając ją, myślę, że wina leżała głównie po jej stronie.

Elizabeth uśmiechnęła się ze smutkiem.

- To miło, że tak mówisz, ale ja też popełniłam wiele błędów. - Ciężko westchnęła. - Tak bardzo żałuję, że Renee umarła, zanim zdążyłyśmy się pogodzić.

Maggie przetarła oczy rękawem, a potem machnęła ręką w kierunku swojego samochodu.

- Mam tu trochę jej rzeczy. Zapakowałyśmy je razem z Dixie, gdy porządkowałyśmy jej mieszkanie. Przyszło mi do głowy, że chciałybyś je mieć.

Przyciskając rękę do serca, Elizabeth pomyślała ze strachem o przekopywaniu się przez rzeczy po zmarłej siostrze. Niepewna, jakie tajemnice z przeszłości Renee wyjdą na jaw, wzięła drżący oddech.

- Tak, bardzo bym chciała... Pomogę ci to przynieść.

Od razu się przekonała, że nie było tego wiele. Szybko wniosły wszystko do domu.

- No, chyba już pojedę - powiedziała Maggie.

Elizabeth chwyciła ją za rękę.

- Nie mogłabyś zostać, gdy będę to przeglądała? Wiem, że to tchórzostwo, ale na myśl, że mam obejrzeć rzeczy Renee... - Zawstydzona, opuściła głowę. - Wolałabym nie być przy tym sama.

Maggie ze zrozumieniem uściśnęła rękę Elizabeth.

- Rozumiem cię. Kiedy Ash usiłował odnaleźć rodzinę Star, spytał mnie, czy może przejrzeć te rzeczy. Myślał, że znajdzie się tam jakaś wskazówka. - Wzruszyła ramionami. - Od samego patrzenia, jak w nich grzebie, robiło mi się słabo.

Wdzięczna za towarzystwo, Elizabeth przyklękła przy paczkach. Zawahała się, bojąc się tego, co w nich znajdzie.

- Chyba nie ma tu nic wartościowego - powiedziała nerwowo.

Maggie zdjęła wieko z pierwszego pudła.

- Nie. Star... - Spojrzała na Elizabeth i uśmiechnęła się przeproszająco. - To znaczy Renee... Nie zostawiła wiele. - Pochyliła się i zajrzała do pudła. - Tu są buty i trochę ubrań. Chyba nic z tego ci się nie przyda.

Elizabeth przysunęła się bliżej i wyciągnęła ozdobiony cekinami gorset, wyglądający na kostium striptizerki. Przysiadła na piętach i przyłożyła go do siebie.

- Och, Boże! - jęknęła. - Jak ona mogła nosić coś takiego!

- Lubiła ubierać się wyzywająco - przyznała Maggie, powstrzymując śmiech.

- O co ci chodzi? - spytała Elizabeth ze zdziwieniem.

Maggie nie wytrzymała i głośno się roześmiała.

- Przepraszam - wyjąkała, wskazując gorset. - Ale to tak do ciebie nie pasuje.

- Twoim zdaniem taka stara panna jak ja nie ośmieliłaby się włożyć czegoś tak podkreślającego figurę?

Maggie natychmiast spoważniała. Zdała sobie sprawę, że uraziła Elizabeth.

- Nie o to mi chodziło. Ale dama taka jak ty i to...
- wskazała gorset - to takie... takie...

Elizabeth uniosła gorset, przyglądając mu się krytycznie.

- Tandetne?

Maggie przygryzła usta, by się nie roześmiać.

- Niezupełnie to chciałam powiedzieć, ale tak, masz rację.

Elizabeth nadal z namysłem przyglądała się gorsetowi. W końcu pokręciła głową.

- Nie, nie mogłabym - mruknęła.

- Czego byś nie mogła?

Elizabeth szybko zwinęła gorset i wepchnęła go z powrotem do pudła.

- Och, nic takiego. Naprawdę. To tylko taka głupia fantazja.

- Fantazja? - powtórzyła Maggie, w jej oczach zabłysła ciekawość. - Jaka?

- To śmieszne, i wstyd mi, że mogłam o czymś takim choćby pomyśleć, ale często się zastanawiałam, jak bym wyglądała jako striptizerka.

- Ty? Nie wierzę.

Elizabeth zaczerwieniła się,

- Mówiłam, że to śmieszne. Nigdy nie odważyłabym się robić striptizu przed jednym mężczyzną, a co dopiero przed tłumem. Poza tym nie mam odpowiedniej figury.

- Kto tak powiedział? - Maggie skoczyła na równe nogi, poderwała też na nogi Elizabeth, a potem wyciągnęła z pudła gorset i rajstopy do kompletu.

- Włóż to - rozkazała, wciskając jej kostium w ręce.

- A ja nastawię odpowiednią muzykę.

- Zwariowałaś? Nie będę tu robiła striptizu!

Maggie przewróciła oczami.

- Nie musisz się rozbierać. Po prostu rozpuść włosy i tańcz. - Machnęła ręką. - Nikt się nie dowie. Jesteśmy tu same. - Pogrzebała w płytach, wyjęła jedną i pchnęła Elizabeth w kierunku sypialni. - Na co czekasz? Przebij się. To czas na fantazje!

Woodrow rozładował paszę w stodole i pospieszył do domu. Niepokoił się o Elizabeth. Zostawił ją samą, a miała ciężki dzień. Właściwie całe jej życie było ciężkie, pomyślał, przypominając sobie, co mu opowiedziała. Ta historia z jej siostrą... Pokręcił ze smutkiem głową. Trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek, a już zwłaszcza siostra, może sprawić tyle bólu komuś tak miłemu i dobremu jak Elizabeth.

Podchodząc do domu, bezwiednie przyspieszył. Uzmysłowił sobie, że to mniej z powodu swojej troski o Eliza-

beth, a bardziej dlatego, że chce ją znów zobaczyć. Że wprost tęskni za nią. Przyzwyczał się, że jest w pobliżu. Dziwne. Bo przecież nawykł do samotności, a teraz prawie od tygodnia jest cały czas z nią. Pokręcił z żalem głową. Gdy wyjedzie, będzie bardzo samotny.

Aż stanął w pół kroku. Samotny? Od kiedy czuje się samotny? Przecież z natury jest odludkiem. Nie potrzebuje nikogo: ani rodziny, ani przyjaciół, ani znajomych. I nikt nie potrzebuje jego. Dążył do tego, aż w końcu osiągnął to, co chciał. Nikt mu się tu nie będzie kręcił i mieszał w jego sprawy.

Parsknął śmiechem, uświadamiając sobie, że wpadł w panikę. Czym tak się denerwuje? Elizabeth tu nie zostanie. Nawet gdyby on tego chciał, ona ma w Dallas własne życie i pracę.

Ale z jakiegoś niejasnego powodu ta myśl wcale go nie pocieszyła. Zmusił się, by ruszyć dalej, ale stanął znów, gdy zobaczył samochód Maggie.

- Och, nie - mruknął.

Obawiając się najgorszego, pobiegł do domu pewny, że albo zastanie Elizabeth we łzach, albo będzie musiał rozdzielać szarpiące się za włosy przeciwniczki. Gwałtownie otworzył drzwi, wpadł do domu i w progu bawialni stanął jak wryty.

Elizabeth stała na stoliku do kawy, tańcząc w rytm dzikiego beatu. Włosy miała rozpuszczone, stopy bose, ubrana była w jakiś upstrzony cekinami kostium, który okrywał jedynie to, co absolutnie konieczne. W rękach

trzymała przezroczystą szarfę i powoli kręciła brzuchem, a jej biodra falowały w rytm walących z głośników bębnow.

- Na Boga! Co się tu dzieje?! - krzyknął.

Na dźwięk jego głosu Elizabeth podskoczyła, o mało nie spadając ze stolika. A Maggie, która śmiała się i głośnymi okrzykami zachęcała Elizabeth, zerwała się z krzesła na równe nogi. Obie patrzyły na niego oczami rozszerzonymi z przerażenia.

Pierwsza opanowała się Maggie.

- Woodrow... ? Dlaczego jesteś w domu?

Zatrzasnął drzwi kopniakiem.

- Mieszkam tutaj. Zapomniałeś? No mówcie! Co wy, do diabła, wyprawiacie?

Maggie wskoczyła na stolik i rozpostarła ręce, osłaniając Elizabeth najlepiej jak się dało.

- No... widzisz - zaczęła nerwowo. - Przywiozłam rzeczy Star i Elizabeth chciała przymierzyć jeden z tych kostiumów, żeby zobaczyć, jak by w nim wyglądała.

- A właściwie dlaczego chciałaś to wiedzieć? - Woodrow skrzyżował ręce na piersi i patrzył na Elizabeth ze złością. - Zamierzasz po nocach dorabiać sobie jako strip-tizerka?

Oburzona jego złośliwością, Elizabeth odsunęła Maggie na bok. Po tym erotycznym tańcu ciągle jeszcze buzowała w niej adrenalina.

- Mogłabym - powiedziała wyzywająco, wspierając się pod boki. - Maggie uważa, że mam do tego talent.

Wyobrażenie sobie Elizabeth jako striptizerki było tak komiczne, że Woodrow miał ochotę się roześmiać, ale przecież nie mógł. Nie teraz, kiedy Elizabeth stała przed nim, z piersią wypiętą jak u kwoki puszącej się, że zniosła jajko. Parsknął, otworzył usta, by coś powiedzieć, a potem je zamknął i znów parsknął.

Widząc, jakie wrażenie na nim wywarła, Elizabeth pochyliła się i owinęła szarfę wokół jego szyi. Zadbała przy tym, by dobrze widział jej wdzięki.

- No i co o tym myślisz? - spytała namiętym szep-tem. - Mogłabym pracować jako striptizerka?

Maggie odchrząknęła, jakby chciała im przypomnieć o swojej obecności. Gdy żadne z nich nie zareagowało, mruknęła, że chyba już pójdzie, zeskoczyła ze stolika i ruszyła do drzwi.

- Do zobaczenia! - zawołała jeszcze.

Drzwi otworzyły się, potem zatrzasnęły z hukiem.

Woodrow się nie poruszył. Nie mógł.

- Co ci jest? - spytała kpiąco Elizabeth. - Kot odgryzł ci język?

Chwycił ją w pasie i poniósł do sypialni.

- Ty jesteś tym kotem.

- Miau - zamruczała i przejechała mu paznokciami po policzkach.

Woodrow rzucił ją na łóżko i położył się obok niej. Zadowolona z siebie - i z niego - zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Byłabym dobrą striptizerką?

Wsunął palec pod cienki materiał gorsetu.

- Nie wiem - powiedział niskim głosem. - Muszę to sprawdzić.

Jednym ruchem przedarł materiał. Topniejąc z rozkoszy, wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła jego głowę do siebie.

- Nie wiem na pewno - powiedziała z głębokim westchnieniem - ale chyba klientom nie wolno dotykać tan-cerek.

Położył się na niej.

- Nigdy nie lubiłem stosować się do reguł.

Następnego ranka Elizabeth i Woodrow jeszcze spali, wtuleni w siebie, ze spletanymi nogami i głowami na tej samej poduszce, gdy na dworze rozległ się klakson samochodu. Za pierwszym razem Woodrow zignorował ten irytujący dźwięk, ale gdy się powtórzył, wyskoczył z łóżka warcząc jak niedźwiedź. Podeszedł do okna i odsunął firankę.

Mrugając, Elizabeth usiadła, zakrywając kołdrą nagie piersi.

- Kto to?

- Mój cholerny brat - mruknął Woodrow i zawołał przez okno: - Rory, co ty, u diabła, tu robisz?

- Do licha, Woodrow - odrzyknął Rory ze zdumieniem. - Jeszcze w łóżku? Już dawno po siódmej!

Woodrow z wściekłością odwrócił się od okna i zaczął wciągać spodnie.

- Zaraz się go pozbędę - obiecał i wybiegł z pokoju. Elizabeth z łóżka nie widziała obu mężczyzn, ale dobrze ich słyszała przez otwarte okno.

Rory roześmiał się, gdy Woodrow wyszedł na dwór.

- Spójrz tylko na siebie! Zjem swój kapelusz, jeżeli właśnie nie wyrwałeś się z ramion kobiety.

Upokorzona tym, że Rory teraz wie, że ona i Woodrow śpiją razem, Elizabeth wyskoczyła z łóżka, by zamknąć okno, zanim usłyszy coś więcej.

- To nie twoja sprawa, gdzie i z kim śpiam - warknął Woodrow.

- Do diabła, Woodrow - poskarżył się Rory. - Gdybym wiedział, że śpianie z Elizabeth jest częścią umowy, odwołałbym moją podróż w interesach i sam pojechałbym do Dallas, by ją słodko nakłaniać do zrezygnowania z opieki nad dzieckiem.

Elizabeth zamarła. Czy to dlatego Woodrow z nią śpiał? Czy to wszystko stanowiło element strategii mającej ją skłonić do zrzeczenia się opieki nad siostrzenicą? Przed oczami zaczęły jej się przewijać sceny z dni, jakie spędzili razem. Woodrow na parkingu przed jej gabinetem. Mówi jej, że Ash i Maggie chcą zaadoptować dziecko. Woodrow przytula ją, gdy zanoszą się od płaczu po tym, jak po raz pierwszy zobaczyła swoją siostrzenicę. Pyta, czy już postanowiła coś w sprawie opieki. Niesie ją do łóżka i kocha się z nią.

Czy miał w tym jakiś cel?

Zamknęła okno i popędziła do łazienki. Kolana jej

drżały, w głowie miała pustkę. Odkręciła kran i weszła pod prysznic, nie czekając, aż woda się nagrzej.

Ale nawet nie zauważyła, że woda jest lodowata. To, co powiedział Rory, wystarczająco ją zmroziło.

Gdy wyszła z łazienki, Woodrow siedział na brzegu łóżka i wciągał buty.

Nie patrząc na nią, powiedział:

- Jadę na ranczo pomóc im w spędzeniu bydła. W nocy ktoś stracił panowanie nad kierownicą i przerwał prawie kilometr ogrodu. Bydło rozproszyło się nie wiadomo gdzie.

Wstał, wcisnął pod pasek poły koszuli. Ta czynność była taka męska, tak nieprawdopodobnie intymna. Elizabeth odwróciła się, wściekła na siebie, że go pragnie.

- Jak długo cię nie będzie? - spytała, usiłując nie pokazać po sobie złości ani bólu.

- Kilka godzin. Zależy od tego, czy bydło się znajdzie.

Usłyszała jego kroki za sobą, poczuła ciężar jego ramion, gdy ją obejmował od tyłu, i ciepło oddechu na karku.

- Chcesz ze mną pojechać? - spytał. - Mogłabyś zostać z Maggie i dzieckiem, gdy ja będę z braćmi zaganiał stado.

Z trudem się opanowała, by nie odwrócić się do niego i nie przytulić.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Raczej zostanę tutaj. Musnął ustami jej ucho.

- Na pewno? To może trochę potrwać.

Wiedząc, że się podda, jeżeli jeszcze chwilę będzie ją obejmował, odwróciła się i oparła ręce na jego piersi.

- Nic mi nie będzie. Naprawdę.

Wzruszył ramionami, szybko pocałował ją w usta i poszedł do drzwi.

- Gdybyś jednak zmieniła zdanie - zawołał jeszcze przez ramię - zadzwoń do Maggie, żeby po ciebie przyjechała! Numer rancza znajdziesz w notatniku przy telefonie.

Elizabeth chciała za nim pobiec, chciała, by ją zapewnił, że to, co Rory mówił, nie jest prawdą. Ale duma trzymała ją w miejscu. Więc tylko patrzyła za nim, utrwalając sobie w pamięci każdą chwilę, każdy szczegół, każdy niuans: jego szerokie, potężne ramiona, długi, pewny siebie krok, kowbojski kapelusz ściągnięty na jedną stronę.

Płakała, bo wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Elizabeth ubrała się, posłała łóżko i spakowała torbę. Wyjeżdża. Absolutnie nie może tu zostać. Podjęła tę decyzję w chwili, gdy usłyszała komentarz Rory'ego. Ale zanim wyjedzie, musi zrobić to, po co przyjechała. Musi zdecydować, kto zajmie się dzieckiem Renee.

Jednak w tej chwili nie potrafiła myśleć racjonalnie. Nie tutaj, gdzie wszędzie, gdzie tylko spojrzała, widziała Woodrowa. Na kanapie, wyciągającego wygodnie długie nogi, z ręką na łbie Blue i zadowolonym uśmiechem. W kuchni, przy zlewie, z rękawami podwiniętymi do łokcia, zmywającego po śniadaniu. I widziała go w łóżku. Leży na boku, całym sobą otacza jej ciało, rozluźniony we śnie.

Ze zduszonym łkaniem wybiegła z domu. Musi jak najszybciej od tego uciec. Może świeże powietrze ją uspokoi na tyle, by mogła podjąć decyzję. Biegnąc przed siebie bez celu, głęboko oddychała i starała się zmusić do skoncentrowania na sprawie. Laura. Córka Renee. Jaka decyzję podjąć? Nie zastanawiała się nad formalnościami prawnymi. Ważna była przyszłość małej, to, co dla niej będzie najlepsze.

Ale co naprawdę będzie dla Laury najlepsze? Powtarzała sobie to pytanie bez końca, a jej frustracja narastała, bo nie znajdowała żadnej odpowiedzi.

W pewnym momencie zauważyła, że bezwiednie trafiła nad jezioro. Usiadła na dywanie trawy, pod drzewem, w pobliżu pomostu, z którego razem z Woodrowem łowili ryby. Nadal nie wiedziała, co postanowić. Patrząc w spokojną toń, usiłowała przemyśleć, jakie ma możliwości. Po pierwsze, sama zaadoptuje Laurę. Pokochała ją, a poza tym stać ją było na wychowanie dziecka. Ale by podołać kosztom, musiałyby nadal pracować. A to oznaczało, że trzeba by zatrudnić opiekunkę. Myśl o pozostawianiu Laury z obcą osobą była nieznośna. Przypominała jej własną młodość, gdy matka z konieczności wychodziła do pracy, zostawiając ją i Renee same.

Po drugie, mogła podpisać zrzeczenie się prawa do opieki i pozwolić, by Ash i Maggie adoptowali dziecko. Łzy przesłoniły jej wzrok. Ale czy zdobędzie się na to? Czy zdoła odwrócić się plecami do jedynego członka rodziny, który jej pozostał na świecie? Gdyby się na to zdecydowała, zerwałaby ostatnią więź z siostrą. Na samą tę myśl serce rwało jej się w strzępy. Oparła czoło o kolana i rozpłakała się.

- Elizabeth?

Jej imię zostało wypowiedziane tak cicho, że przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że już nie jest sama. W końcu uniosła głowę. Przed nią stała Maggie, w nosidełku miała Laurę.

Elizabeth szybko otarła łzy ręką.

- Przepraszam. Nie słyszałam twoich kroków.

Maggie usiadła obok niej i położyła jej rękę na ramieniu.

- Co się stało? - spytała serdecznie.

Elizabeth znowu w oczach zakręciły się łzy.

- Nic takiego. Wszystko w porządku.

- Pokłóciliście się z Woodrowem? - Spojrzała na nią uważnie. - Tak, mam rację, prawda? Niech ja go tylko dorwę! Pożałuje, że się urodził.

Elizabeth parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie tę drobną kobietkę walczącą z taką górą mięśni, jaką był Woodrow.

- Nie - powiedziała, wycierając łzy. - Nie kłóciliśmy się.

- Więc co się stało? - nalegała Maggie. - Przecież widzę, że jesteś podminowana.

Uśmiechając się do śpiącego dziecka, Elizabeth pogłaskała je po miękkich włoskach.

- Mogę ją wziąć na ręce?

Maggie wyjęła małą z nosidełka.

- Pewnie. Jesteś jej cicią.

Elizabeth przytuliła dziecko.

- Wygląda tak spokojnie - szepnęła. - Jak aniołek.

Maggie przysunęła się bliżej.

- Bo to prawdziwy aniołek - zgodziła się - chyba że jest głodna.

Elizabeth roześmiała się.

- Ma to po swojej mamie. Renee była taka sama. Póki

miała sucho i miała pełny brzusek, była najśłodszym dzieckiem na świecie. Ale niech tylko czegoś chciała, darła się tak, że słyszeli ją wszyscy sąsiedzi.

Maggie roześmiała się.

- Laura jest taka sama. Ma zdrowe płuca. Potrafi porządnie się rozwrzeszczyć.

Elizabeth westchnęła.

- Nie cierpiałam, gdy Renee płakała. Zawsze robiłam wszystko, byle tylko się uspokoiła.

- Musiałyście być bardzo zżyte.

Elizabeth znów łzy zakręciły się w oczach. Bez słowa skinęła głową.

Maggie objęła ją i przytuliła.

- Nie wiem, co między wami zaszło, ale Renee cię kochała. Wiem, że tak było. Gdyby cię nie kochała, nie dałaby córce twojego imienia.

- Co takiego?

- Nie wiedziałaś? Laura na drugie imię ma Elizabeth. Po tobie - dodała, jakby chciała, żeby Elizabeth zrozumiała związek.

Zdumiona, Elizabeth pokręciła głową.

- Nie. Nie wiedziałam.

- No więc widzisz. To świadczy o tym, że Renee cię kochała.

Z oczami pełnymi łez Elizabeth położyła głowę na ramieniu Maggie.

- Och, Maggie... - szepnęła. - Nawet sobie nie obrażasz, ile to dla mnie znaczy, że mała ma moje imię.

- Powiedziałyby ci wcześniej, ale myślałam, że Woodrow ci już o tym mówił.

Słyszając jego imię, Elizabeth zeszywniała. Wyprostowała się i zaczęła się bezwiednie bawić troczkami ubranka Laury.

- Nie. Nic mi nie mówił.

- On coś ci zrobił, prawda? Dlatego płakałaś.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała Elizabeth, nie patrząc na Maggie.

Maggie wsunęła jej palec pod brodę i zmusiła do spojżenia na siebie.

- Bo jestem kobietą. - Westchnęła. - Lepiej powiedz mi, co się stało, bo póki tego nie zrobisz, nie zostawię cię samej.

- Nie mogę. Naprawdę. Poza tym on mi nic nie zrobił. Ja po prostu byłam głupia i tyle.

- Spałaś z nim, prawda?

Łzy popłynęły Elizabeth po policzkach.

- Tak. Ale popełniłam błąd. Gdybym nie była taka słaba, to by się nie zdarzyło.

- Zmusił cię?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Więc o co ci chodzi? Jesteście dwojgiem dorosłych ludzi i kochaliście się za obopólną zgodą. Gdzie tu jest błąd?

- Bo ja nic dla niego nie znaczę! - wykrzyknęła Elizabeth z furją. - To był tylko podstęp, żebyś zrzekła się praw do mojej siostrzenicy.

Maggie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Niemożliwe - powiedziała. - Woodrow nigdy by tego nie zrobił. On nie jest taki! To prawda, że Ash i ja chcemy zaadoptować Laurę. I rzeczywiście prosiliśmy Woodrowa, żeby pojechał do Dallas i przywiózł cię tutaj. Ale reszta po prostu się zdarzyła. Woodrow nigdy by nie wykorzystał kobiety. Przysięgam ci, że nie.

Elizabeth nie chciała więcej o tym rozmawiać. Maggie nie mogła zrobić nic, by zatrzeć wrażenie, jakie na niej wywarły słowa Rory'ego.

Wciągnęła głęboko powietrze. Wiedziała, co powinna postanowić w sprawie siostrzenicy.

- Wracam do domu - powiedziała. - Odwiedzisz mnie na lotnisko?

- Nie wyjeżdżaj. - Maggie chwyciła ją za rękę. - Nie w ten sposób. Proszę cię. Najpierw porozmawiaj z Woodrowem. Daj mu szansę, by się wytłumaczył.

Elizabeth wstała.

- Nie. Od początku zgodziliśmy się oboje, że nie będzie żadnych oczekiwań i zobowiązań. Wtedy myślałam, że dzięki temu żadne z nas nie zostanie zranione. - Odwróciła wzrok i spojrzała na pomost. Zobaczyła go tam jak żywego, gdy z oczami zmrużonymi przed słońcem obserwował spławik. Znów pod powiekami zakręciły jej się łzy.

- Ale tak było, zanim się zorientowałam, że jestem w nim zakochana.

Na lotnisku Elizabeth kupiła bilet, oddała torbę na bagaż i wróciła do Maggie i Laury.

- Samolot odlatuje za trzy kwadranse - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Tak więc chyba musimy się już pożegnać. - Spojrzała na dziecko. - Wiesz - kontynuowała, głaszcząc małą po policzku - myślałam, że trudno mi będzie podjąć decyzję w jej sprawie. Ale w końcu rozjaśniło mi się w głowie. - Uśmiechnęła się do Maggie. - Jestem jej ciotką i nic tego nie zmieni. Ale Laura należy do was, do ciebie i do Asha. Tego chciała Renee i niech tak będzie.

Maggie odczuła wszechogarniającą ulgę, po policzkach popłynęły jej łzy.

- Och, Elizabeth, jesteś pewna?

Elizabeth położyła jej rękę na ramieniu.

- Tak. Niech Ash przyśle mi dokumenty. Ale wiedz - ostrzegła, grożąc palcem przed nosem Maggie - że nie usunę się z jej życia. Zamierzam w pełni korzystać z moich praw ciotki, co oznacza, że będę ją niemiłosiernie psuła.

Śmiejąc się przez łzy, Maggie zarzuciła Elizabeth ręce na szyję i mocno się do niej przytuliła.

- Możesz ją psuć, ile tylko zechcesz.

- Mogę ją ostatni raz potrzymać? .

Z drżącymi ustami Maggie podała jej małą, stanęła obok i objęła ją za ramiona.

- Przyjedź na Święto Dziękczynienia - powiedziała. - I na Boże Narodzenie. Święta należy spędzać z rodziną.

Rodzina. Za tym Elizabeth zawsze tak tęskniła. Przepelniona uczuciami, przycisnęła rękę do ust i skinęła głową.

- Przyjadę. A ty musisz mi obiecać, że przywieziesz Laure do Dallas. Zabierzemy ją na zakupy i do zoo.

Kładąc głowę na ramieniu Elizabeth, Maggie mocno ją uściskała.

- Wiesz co? Nigdy nie miałam siostry. A skoro pozwalasz nam zaadoptować Laure, czy zechcesz w zamian zaadoptować nas? Mogłybyśmy być wtedy siostrami.

Oślepiąca łzami, Elizabeth chwyciła Maggie za rękę i przycisnęła ją do serca.

- Och, Maggie! O niczym więcej nie mogłabym marzyć.

Bracia Tannerowie wracali do domu po spędzeniu bytła. Pierwszy szedł Ash.

Rzucił kapelusz na stół i głęboko wciągnął powietrze.

- Coś tu ładnie pachnie.

Maggie nie odwróciła się od kuchenki.

- Wytrzymaj nogi, zanim wejdziesz do mojej kuchni - warknęła.

Ash ze zmarszczonym czołem popatrzył na Reese'a, jakby chciał go spytać: „Co ją ugryzło?” - a potem wzruszył ramionami i podszedł do niej.

- Mam nadzieję, że nagotowałeś tyle, by wystarczyło na pluton żołnierzy - powiedział, obejmując ją. - Umieramy z głodu.

Wsadziła mu łokieć w brzuch. Odstąpił o krok.

- Co ci się stało? - spytał ze zdumieniem.

Odwrociła się gwałtownie i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Mężczyźni! - parsknęła z pogardą i wróciła do mieszania w garnku.

Ash obejrzał się na braci. Stali niepewnie w drzwiach, nie ośmielając się wejść. Zdarzało się już, że po powrocie do domu zastawał żonę w paskudnym humorze. Jednak dziś świadkami tego byli bracia. Niedobrze.

- Czy mogłabyś to wyjaśnić? - spytał cierpliwie.

Rzuciła łyżkę na pokrywkę z taką siłą, że krople prysnęły na kuchnię, chwyciła garnek za ucha i ruszyła do stołu.

- Mężczyźni - powtórzyła i z hukiem postawiła garnek na stole.

Ash wziął się pod boki.

- Widzę, że coś cię zdenerwowało. I skoro ciągle powtarzasz słowo „mężczyźni”, widocznie to jakiś przedstawiciel mojej płci ci się naraził. Zechciałabyś mi powiedzieć, czy to jeden konkretny mężczyzna cię zdenerwował, czy też może kilku?

Oskarżycielsko wymierzyła palec w Woodrowa.

- Jego zapytaj!

- Mnie? - zdziwił się Woodrow. - Co ja takiego zrobiłem?

Maggie założyła ręce na piersi.

- Właśnie tego chciałabym się dowiedzieć.

Woodrow powiódł spojrzeniem po braciach. Nie rozu-

niał, o co w tym wszystkim chodzi. Podniósł ręce w geście poddania.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

- Więc pomyśl o Elizabeth. Może wtedy sobie przypomnisz i będziesz mógł oświecić również nas - zaproponowała, a potem zwróciła się do męża: - A tak przy okazji: prosiła, żebyś przesłał jej dokumenty, które musi podpisać, żebyśmy mogli adoptować Laureę.

- Zgodziła się? - spytał Ash z zachwytem.

- Tak - odparła Maggie krótko i znów napadła na Woodrowa. - No, więc co jej zrobiłeś? - spytała z furją. - I nie ośmielaj się wymigiwać - ostrzegła - bo ja wiem, że to twoja wina. Widziałam, jak płakała.

Woodrowowi zrobiło się duszno. Było tak, jakby ktoś zacisnął mu metalową obręcz wokół piersi.

- Gdzie ona jest? - Tylko tyle zdołał powiedzieć.

- Wyjechała. No mów!

Pokręcił głową.

- Nic. Przysięgam. Gdy rano wychodziłem, czuła się doskonale. - Spojrzał na Rory'ego. - Byliśmy w łóżku, gdy przyjechałeś, pamiętasz? Zaspaliśmy. - Przeniósł spojrzenie z powrotem na Maggie. - Przysięgam, że wtedy czuła się dobrze...

- Och!

Woodrow gwałtownie odwrócił się do Rory'ego. W głosie brata usłyszał lęk.

- Co?

- Była z tobą w łóżku, gdy przyjechałem?

- Co za różnica? - warknął Woodrow niecierpliwie.

Rory wycofał się tak, by między nim a Woodrowem stał Reese.

- No więc, jak może pamiętasz, kiedy zawołałem, wystawiłeś głowę przez okno.

- Tak. I co z tego?

- Potem włożyłeś spodnie i wyszedłeś na dwór.

- Może przestaniesz obchodzić temat i powiesz wszystko od razu?! - krzyknął Woodrow.

Rory drżącą ręką przetarł twarz.

- No więc chyba mówiłem coś o tym, że wyglądasz tak, jakbyś wyskoczył prosto z ramion kobiety. A potem o tym, jak żałuję, że to nie ja pojechałem do Dallas po Elizabeth.

Woodrow opuścił głowę. Teraz mu się przypomniało, co Rory jeszcze powiedział. Przez chwilę stał nieruchomo. Potem spojrzał na brata. W oczach miał wściekłość.

- Niech cię diabli, Rory - warknął.

Rory skoczył do drzwi.

- Nie wiedziałem, że ona słucha! - krzyknął obronnym tonem i pobiegł do swojego samochodu.

Woodrow popędził za nim. Podbije mu drugie oko! Stłucze go tak, że popamięta!

Ash zdążył chwycić go za ramię.

- Zostaw mnie - ostrzegł go Woodrow z wściekłością. Zaciskając mu rękę na ramieniu, Ash pokręcił głową.

- Walka z Rorym niczego nie załatwi. Dobrze o tym wiesz. Musisz wyjaśnić sprawę z Elizabeth.

W mgnieniu oka twarz Woodrowa stała się kamienna, spojrzenie zlodowaciało.

- Dlaczego? - spytał, wrywając się bratu. - To ona mnie opuściła, a nie ja ją.

Elizabeth spalała się w pracy. Nie pozwalała sobie myśleć o Woodrowie ani o tym, co się między nimi zdarzyło. Nikt, kto z nią pracował - ani pielęgniarka, ani dwaj lekarze, z którymi współpracowała - nie podejrzewał, że w ciągu tygodnia nieobecności przeżyła coś niezwykłego.

Ale to dlatego, że dobrze umiała ukrywać swoje uczucia. Od lat się w tym wprawiała. Jeżeli za nic innego, to chociaż za to, że pomógł jej doprowadzić tę umiejętność do perfekcji, mogła być wdzięczna swojemu byłemu narzeczonemu, Tedowi.

Chociaż dni wypełniała sobie pracą, w nocy myślała i wspominała. Bezsensowność powróciła, uparta jak nigdy dotąd, a gdy czasami udawało jej się jednak zasnąć, śniła. Sny miała przyjemne, a nawet erotyczne, były jednak mimo wszystko koszmarem. Przypominały jej, co dzieliła z Woodrowem i co straciła.

Oczy miała podkrążone, wciąż chudła, chociaż i tak już przedtem była bardzo szczupła. Złościło ją, że dała Woodrowowi tyle władzy nad sobą. I wstydziła się, że tak źle go oceniła. Myślała, że jest czuły, kochający, a on tylko chciał, by podpisała zrzeczenie się praw do Laury.

Czując, że zaraz się rozpłacze, wzięła do ręki kartę pacjenta i zmusiła się do skoncentrowania na niej uwagi.

Ale na kartce papieru widziała twarz Woodrowa. Och, Woodrow... - płakała w duszy.

Woodrow siedział na ganku swojego domu i strugał kawałek drewna. Wiórki ułożyły się już w sporą górkę u jego nóg. Blue leżała u dołu schodów, na trawie, z nosem na łapach, i obserwowała rosnący stosik strużyn. Jedną, większą górkę wiórków zdążył już ustrugać w poprzednich dniach. Dla każdego, kto znał Woodrowa, był to nieomylny znak, że coś jest z nim nie w porządku.

Zawsze strugał patyki, gdy coś wyprowadziło go z równowagi. Ta czynność przynosiła mu pociechę, dawała ujście frustracji i złości. Ręce miał zajęte, a stosik wiórków stanowił miejsce, gdzie mógł pogrzebać swój ból. Tym razem jednak obawiał się, że będzie musiał zestrugać wszystkie drzewa w lesie, zanim uzbiera się wystarczająco duży stos, by mógł pogrzebać ból, jaki sprawiła mu Elizabeth.

Zacisnęła rękę w pięść. Wrzała w nim wściekłość. Zostawiła go. Wiedział, że tak będzie. Każdy, kogo kochał, wcześniej czy później go opuszczał. Matka. Macocha. Tyle że do tej pory to śmierć kradła mu tych, których kochał. Ale w końcu i Ash go opuścił.

Po śmierci macochy Ash starał się jak mógł ją zastąpić. Opiekował się nim i resztą braci. I to Ash przejął rolę wiecznie nieobecnego ojca, mężczyzny, którego bardziej obchodziło uwodzenie kolejnych kobiet niż wychowywanie synów. I to Ash tulił go tej nocy, gdy płakał, jego, małego chłopczyka, zbyt młodego, by zrozumieć, czym

jest śmierć, ale dostatecznie dużego, by czuć ból utraty. Ash chodził kibicować mu na szkolnych meczach futbolu, gdy ojciec wolał uganiać się za kolejną kobietą, zamiast dać synowi wsparcie. To Ash wyciągnął go z aresztu, gdy się upił i zdemolował bar. I to Ash podtrzymywał mu głowę, gdy potem niemal wyrzygał wewnętrznego.

Ale Ash w końcu odszedł bez słowa wyjaśnienia, by poszukać swojego miejsca na ziemi. Z czasem wyrobił sobie nazwisko jako fotograf. Woodrow wiedział, że Ash nigdy by nie odszedł z własnej woli. To ojciec go wypędził. Ale, niezależnie od przyczyn, jego wyjazd bolał tak samo.

Potem ojciec przyprowadził do domu Momkę Lee jako drugą żonę, chociaż całe miasto, tak samo jak synowie, wiedziało, że ten ślub był raczej sprawą interesu niż miłości. Ojciec potrzebował kogoś, kto zająłby się jego synami, a Momma Lee potrzebowała nazwiska i domu dla własnego syna, Whita.

Jednak trzeba przyznać, że Momma Lee wywiązała się ze swojej części umowy. Zaopiekowała się młodymi Tannerami, starała się zaspokoić ich emocjonalne potrzeby. Nawet w końcu ich pokochała. Woodrowowi zabrało sporo czasu, zanim odwzajemnił tę miłość, ale w końcu tak się stało. A potem ona też go opuściła. Chociaż nie z własnego wyboru. Pijany kierowca przejechał na czerwonym świetle i zderzył się z jej samochodem. Zginęła na miejscu.

Niedługo potem Woodrow kupił swoje ranczo. Pogryzł się całkowicie w pracy, zrezygnował z kontaktu z innymi ludźmi i starał się opancerzyć serce przeciwko na-

stępnym cierpieniom, jakich mógłby doświadczyć. Takie życie sobie wybrał; sposób na przetrwanie, który idealnie się sprawdził.

Do chwili gdy pojawiła się Elizabeth.

Westchnął, poprawił ułożenie noża w rękę i zabrał się z powrotem do strugania, ścinając cieniutki wiórek, który opadł na stertkę u jego nóg.

Nagle usłyszał silnik samochodu. Podniósł wzrok. Zmarszczył czoło widząc, że to pikap Asha. W pierwszym odruchu chciał wejść do domu i zamknąć drzwi na klucz, ale wiedział, że nic tym nie osiągnie. Dla Asha zamknięte drzwi nie stanowiły żadnej przeszkody. Tak było już w czasach, gdy Woodrow był dzieckiem i chował się w swoim pokoju, kiedy popadł w tarapaty. Ash zawsze potrafił go znaleźć.

Z westchnieniem odłożył nóż.

- Zastanawiałem się, czy jeszcze żyjesz! - zawołał Ash, wysiadając z pikapa.

- Naprawdę? - parsknął Woodrow. - Ile to już czasu upłynęło, zanim się mną zainteresowałeś?

Ash uśmiechnął się.

- To, że się nie widzieliśmy, nie znaczy jeszcze, że nie martwię się o ciebie.

Woodrow przygryzł usta, żeby nie odpowiedzieć uśmiechem. Wiedział, że tak rzeczywiście jest.

- Więc co cię sprowadza w moje okolice? - spytał.
- Potrzebujesz opieki do dziecka, żebyś sam mógł spędzić z żoną noc w mieście?

Chichocząc Ash przysiadł obok brata.

- Jeśli ci się wydaje, że Maggie zostawiłaby Laure z takim nicponiem jak ty, to jesteś bardziej szalony, niż mogłem sądzić.

Woodrow wzruszył ramionami.

- Mogłaby trafić gorzej. Na przykład na Rory'ego.

Ash natychmiast spowaźniał.

- Jak długo jeszcze zamierzasz się na niego złościć, zanim mu przebaczysz?

- Och, jakiś milion lat.

Ash pokiwał głową.

- Widzę, że nic się nie zmieniliście. Dorośli mężczyźni, a zachowują się jak smarkacze.

- To on kłapał jadaczką - warknął wściekle Woodrow.

- Jeżeli potrzebne są tu przeprosiny, to z jego strony.

- Byłem pewny, że to właśnie powiesz.

W tej chwili z pikapa zaczął gramolić się Rory. Woodrow podniósł rękę, jakby chciał mu zabronić wstępu.

- Jeżeli wiesz, co jest dla ciebie dobre - ostrzegł - włącz lepiej z powrotem na fotel i bierz nogi za pas.

Rory jednak podchodził, z uśmiechem czającym się w kąciку ust.

- No, Woodrow, wiesz dobrze, że nie lubię cofać się przed wyzwaniem. - O metr od schodków stanął i wysunął przed siebie pięści. - Chodź - wyzwiał brata, boksując powietrze przed jego nosem. - Jeżeli jedna czy dwie rundki poprawią ci humor, bierzmy się do dzieła.

Z cierpką miną Woodrow machnął ręką.

- Ona nie jest warta walki.

Rory przyskoczył bliżej, ciągle boksując powietrze.

- Jeżeli tak myślisz, to dlaczego ciągle jesteś w żałobie po niej?

Woodrow spojrzał na niego groźnie.

- Nie jestem w żałobie po nikim.

Rory opuścił ręce i szturchnął butem stertę strużyn.

- Więc pewnie szykujesz sobie drewno na zimę.

- Bardzo śmieszne - warknął Woodrow.

- Powiem ci coś jeszcze śmieszniejszego. - Rory pochylił się, opierając ręce na kolanach, żeby mieć oczy na wysokości oczu Woodrowa. - Elizabeth jest bardzo podobna do ciebie. Gdy coś ją zdenerwuje, musi zająć czymś ręce, bo inaczej boi się, że oszaleje. Różnica jest tylko taka, że ty strugasz patyki, a ona robi na drutach.

- A niby skąd ty o tym wiesz?

Rory wyprostował się.

- Stąd, że podczas tych dwóch tygodni od wyjazdu zrobiła trzy sweterki i kocyk dla Laury.

Woodrow spojrzał na najstarszego brata.

- To prawda - potwierdził Ash. - Przyszły wczoraj.

Woodrow wziął nóż i wytarł ostrze o spodnie.

- Mnóstwo ludzi ma jakieś hobby - mruknął. - Ona robi na drutach. To niczego jeszcze nie dowodzi.

- Dowodzi, że jest nieszczęśliwa - nalegał Rory. - Pewnie tak samo nieszczęśliwa jak ty.

Woodrow poderwał głowę do góry.

- Ja nie jestem nieszczęśliwy!

- Oczywiście. Jesteś uosobieniem szczęścia - roześmiał się Rory.

Woodrow wstał.

- To ona mnie zostawiła - przypomniał braciom cierpko. - Jeżeli teraz jest nieszczęśliwa, to tylko jej wina. Nie moja.

- Co za idiota z niego - zauważył Rory, zwracając się do Asha. - Pozwala, żeby taka dobra kobieta wyśliznęła mu się z rąk, bo jest za dumny, żeby zrobić pierwszy krok.

- Już mówiłem - powtórzył Woodrow - że to ona odeszła.

- A próbowałeś spojrzeć na sprawę z jej punktu widzenia? - spytał Rory. - Zgodnie z tym, co mówiła Maggie, do tej pory miała raczej ciężkie życie. Jej siostra była latawicą, a ona była tak zajęta pilnowaniem Renee i wyciąganiem jej z kłopotów, że nie miała czasu na życie towarzyskie i przez to ma bardzo mało doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Do diabła, gdyby jakakolwiek inna kobieta usłyszała to, co powiedziałem tamtego ranka, wiedziałyby, że tylko się z tobą drażnię. Mężczyźni przez cały czas żartują na temat seksu.

- Ja nie żartuję.

- No widzisz! - wykrzyknął Rory, wymierzając oskarżycielsko palec w Woodrowa. - To świadczy o tym, że mam rację. Masz bzika na punkcie tej kobiety. Bez tego nie podbiłbyś mi tamtego dnia oka za to, co powiedziałem. Spójrz na to z perspektywy Elizabeth - kontynuował Rory szybko, zanim Woodrow zdołał zaprzeczyć. - Ona myśli,

że ją wykorzystałeś. Wyobraź sobie, jak musi się teraz czuć.

Woodrow odwrócił się do Asha.

- Jeżeli przywiozłeś go tu po to, by nas pogodzić, równie dobrze możecie obaj iść do diabła.

Ash wstał i wyciągnął z kieszeni jakieś papiery.

- Przyjechałem tu z tego powodu - powiedział, podając je bratu.

Woodrow szybko je przejrzał.

- To dokumenty dotyczące opieki nad dzieckiem, tak? Kiedy Elizabeth je podpisze, Laura jest wasza?

Ash skinął głową.

- Gratuluję. Będiesz dobrym ojcem - powiedział Woodrow, oddając mu dokumenty.

Ash uścisnął mu rękę.

- Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. - Wziął głęboki oddech. - Woodrow, posłuchaj. Chodzi o coś więcej. Maggie i ja mieliśmy nadzieję, że odwieziesz te dokumenty Elizabeth, żeby je podpisała, a potem przywieziesz ją do nas. Chcemy, żeby to się odbyło jak najszybciej - dodał, gdy Woodrow już chciał się wykręcać. - Wiesz, jak kobiety potrafią się denerwować - dodał, wzruszając ramionami. - Maggie boi się, że Elizabeth może zmienić zdanie, jeśli się jej da za dużo czasu na myślenie.

- Rzeczywiście, może się tak stać - przyznał Woodrow, chociaż przejrzał intrygę brata.

Rory wyrwał Ashowi papiery z ręki.

- Mówiłem, że to tchórz. - Napuszył się. - Ale nie szkodzi, bo to oznacza, że ja je zawiozę.

Wyobrażając sobie, jak ten lowelas Rory odwiedza Elizabeth, Woodrow szybko odebrał mu dokumenty.

- Po moim trupie - warknął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Woodrow wybrał się późno i do Dallas dojeżdżał dopiero koło północy. Ale nawet o takiej porze autostrada była zatłoczona. Kiedy ci wszyscy ludzie śpią? - zastanawiał się.

Przez te trzy godziny jazdy miał dużo czasu na myślenie. Głównie o tym, co powiedział Rory. Chociaż złościło go, że brat może mieć w czymkolwiek rację, w końcu musiał przyznać - przynajmniej w tej sprawie - że obserwacje Rory'ego są słuszne, gdyż brzmiały prawdopodobnie. Elizabeth była naiwna w bardzo wielu sprawach. A już zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn. Czy to z powodu wychowania w dzieciństwie, czy to dlatego, że cały czas musiała pilnować swojej dzikiej siostry, tego nie wiedział. Ale słowa Rory'ego musiała ją zabołec. Była zbyt wrażliwa, uczciwa i ufna, by jej nie zabołały. I teraz zaczynał rozumieć jej uczucia. Rzeczywiście, mogła pomyśleć, że ją wykorzystał, by uzyskać zgodę na zrzeczenie się opieki nad Laurą na rzecz Asha i Maggie.

Ale takie postępowanie nie leżało w charakterze Woodrowa. Nie miał cierpliwości ani smykałki do podstępów.

I trochę go gniewało, że zdaniem Elizabeth jednak był do tego zdolny.

Gdy zahamował przed czerwonym światłem, pokręcił ramionami, by pozbyć się napięcia. Ale to nic nie pomogło. Kark i ramiona miał zeszywniałe od długiej jazdy. Boże, jak on nienawidził miast.

A właśnie w mieście chciała mieszkać Elizabeth.

Ta myśl przyprawiła go o jeszcze większe napięcie. Niezależnie od swojej złości na nią już uznał, że nie może bez niej żyć. Ale czy potrafiłby zamieszkać w mieście, gdyby ona postanowiła tu zostać?

Wzruszając ramionami, bębnił palcami po kierownicy, zirytowany, że musi stać na światłach. Popatrzył we wsteczne lusterko. Popatrzył raz, potem drugi, a potem odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez tylne okno. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. W samochodzie, który stał za nim, było aż gęsto od dzieciaków, a żaden z nich nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat. Kierowca używał klaksonu jak bębna, wystukując rytm rapu, który grzmiał z głośników. Dzieciak miał włosy ufarbowane na zgniły pomarańczowy kolor i obcięte w stylu, który, jak Woodrow kiedyś słyszał, nazywał się „na Mohawka”. Widział kiedyś w telewizji western, w którym Indianie nosili takie właśnie fryzury. W nosie, brwiach i dolnej wardze chłopak miał srebrne kolczyki. Chociaż było za ciemno, by dobrze widzieć, Woodrow postawiłby swojego obsypanego nagrodami byka na to, że całe ciało dzieciaka i jego kumpli pokrywały tatuaże. Przez otwarte okienko ulatywały kłęby

dymu, ale Woodrow nie sądził, by chodziło tu o zwykłe papierosy.

- Cudaki - mruknął i ze złością odwrócił się w stronę szosy. - Wasze matki pewnie co wieczór zasypiają, płacząc z rozpaczą, że was urodziły.

Zastygł na tę myśl, przypominając sobie swój bunt z czasów młodości. Gdyby nie Ash i kilka postojów przy pieńku do rąbania drewna, gdzie Ash bez litości karbował mu skórę, on też mógłby zejść na taką samą drogę jak te dzieciaki.

Nagły ryk klaksonu sprawił, że Woodrow aż podskoczył. Spojrzał na światła. Zmieniły się na zielone.

- Hej, ty wsioku! - wrzasnął dzieciak w samochodzie.
- Jakiego odcienia zieleni potrzebujesz, żeby ruszyć?

Woodrow obejrzał się przez ramię. Dzieciak wystawił palec w geście, który nie potrzebował tłumaczenia.

Tego już było za wiele! Woodrow wygramolił się z pikapa. Napędzany gniewem w jednej chwili znalazł się obok samochodu łobuzów.

- Masz pięć sprawnych palców w dłoni - powiedział.
- Jeżeli nie chcesz pozostać tylko z czterema, radzę ci, byś trzymał środkowy palec pod kontrolą.

Dzieciak spojrzał po kumplach, uśmiechnął się i z powrotem zwrócił wzrok na Woodrowa.

- I co mi zrobisz, kowboju? - warknął.

Woodrow ledwo się pohamował, by nie wyciągnąć go przez okno i nie dać mu nauczki, jakiej się najwyraźniej napraszał.

- Co za twarde słowa - wycedził. Odstąpił od samochodu o krok. - A więc przekonajmy się, jak twardy jesteś naprawdę.

Chłopak obejrzał się przez ramię na kumpli siedzących z tyłu, a potem kopniakiem otworzył drzwi i uderzył Woodrowa w kolana.

Zaskoczony, Woodrow stracił oddech, gdy ostry ból przeszył mu nogi. Zanim zdążył się ruszyć, opadli go, kopiąc i tłukąc, jakby był snopkiem zboża, które trzeba wymłócić. Pięścią dostał w kącik oka, nogą w brzuch, a potem w żebra. Jeden z łobuzów skoczył mu na plecy, chwycił za włosy i szarpnięciem odciągnął głowę do tyłu. Jakby na zwolnionym filmie Woodrow zobaczył lśniące w świetle ulicznej latarni ostrze. Wiedział, że grozi mu śmierć, w ustach poczuł smak strachu. Nie może umrzeć, gdy dopiero teraz zaczął naprawdę żyć. Nie teraz, kiedy kobieta, którą kocha, jest o trzy przecznice od niego. Nie teraz, kiedy ona nawet jeszcze nie wie, że ją kocha.

Zrobił unik w lewo i nóż tylko skaleczył mu kark. Woodrow ryknął, rozpostarł szeroko ramiona i strząsnął tego, który siedział mu na plecach. Potem zaatakował, łapiąc trzech stojących przed nim w rozwarte ramiona. Zebrał całą siłę, jaka mu została, uniósł ich i rzucił na bagażnik samochodu.

Odwrócił się. Adrenalina szumiała mu w żyłach, zaraz załatwi resztę gangu.

I zobaczył wymierzony w siebie policyjny pistolet.

- Ręce na głowę! - rozkazał policjant.

Woodrow podniósł ręce i splótł palce za głową, wiedząc, jak ta scena musiała wyglądać w oczach policjanta.

- Mogę to wyjaśnić - powiedział.

Policjant machnął pistoletem, każąc mu się odwrócić.

- Wyjaśnisz wszystko w komendzie. Zabieramy i ciebie, i tych opryszków. No, ruszaj.

Trwało to dwie godziny, zanim Woodrow przekonał policjantów, że nie jest jakimś zwariowanym psycholem, cierpiącym na atak autostradowej furii. Wreszcie go puścili. Oczywiście bardzo pomogło to, że w samochodzie łobuzów znaleziono pięć uncji marihuany. To, a także fakt, że małeletni napastnicy byli znani jako członkowie miejscowego gangu, który od kilku tygodni terroryzował sąsiedztwo.

Było trochę po drugiej w nocy, gdy znalazł się pod domem Elizabeth. Całe ciało miał obolałe. Wykończony, nacisnął dzwonek, a potem oparł się o ścianę i czekał.

Po kilku minutach na ganku zapaliło się światło, niemal go oślepiając.

- Kto tam?

Usłyszał w jej głosie strach i uśmiechnął się, wyobrażając sobie Elizabeth stojącą z patelnią w ręku po drugiej stronie drzwi.

- To ja - powiedział. - Woodrow.

Czekał. Ale drzwi się nie otwierały. Ze zmarszczonym czołem odepchnął się od ściany.

- Elizabeth? - zawołał. - Nie otworzysz mi?

- Nie. Odejdź albo wezwę policję.

Woodrow jęknął, wiedząc, że po raz drugi tak łatwo go nie puszczą. Muszą go zatrzymać, jeżeli skargę złoży kobieta tak delikatna i uprzejma jak Elizabeth.

- Elizabeth, daj spokój - błagał. - Chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Nie ma nic takiego, co chciałabym od ciebie usłyszeć. A teraz proszę odejść.

Wiedział, że przynajmniej częściowo sam jest winny temu, że Elizabeth nie chce go widzieć. Może i Rory posiał w jej umyśle wątplenie swoją sprośną uwagą, ale to on sam, przez swój upór, przez to, że nie pojechał do niej i nie wyjaśnił nieporozumienia, pozwolił, żeby to wątplenie narosło i zakorzeniło się.

Przekonany, że nie zasługuje na jej przebaczenie, wyprostował się i dotknął poranionych warg.

- Dobrze. Odejdę - powiedział. - Ale czy najpierw mogłabyś mi pożyczyć plaster?

Elizabeth nie odzywała się przez długą chwilę. W końcu uznał, że jej zdaniem nie jest wart nawet kawałka plastra. Odwrócił się, żeby odejść, ale wtedy usłyszał stukot zamka.

Spojrzał w stronę drzwi. Elizabeth stała na progu. Miała na sobie szlafrok, rękami obejmowała się w pasie.

- Po co ci plaster?

Dotknął palcem kącika ust i skrzywił się, gdy zapiekło.

- Żeby powstrzymać krwawienie.

Podeszła o krok bliżej.

- Krwawisz? - zapytała i zacisnęła ręce mocniej wokół talii. - Co się stało?

Wstydząc się powiedzieć, że pobili go smarkacze, odparł:

- Po prostu uznajmy, że po drodze wpadłem w kłopoty.

Podeszła jeszcze o krok, mrużąc oczy, by przyjrzeć się jego twarzy.

- O Boże, Woodrow! - krzyknęła. - Ty rzeczywiście krwawisz.

Skinął głową.

- Tak. Dlatego prosiłem cię o plaster.

Chwyliła go za rękę i wciągnęła do mieszkania.

- Potrzebujesz lekarza? - spytała z troską, prowadząc go do kuchni.

Woodrow opadł na krzesło, które mu podsunęła, i uśmiechnął się.

- Jestem u lekarza, chyba że to mi się śni.

Puściła jego rękę.

- Ja... pójdę po apteczkę.

Woodrow patrzył, jak wychodzi, potem z westchnieniem zamknął oczy. To nie będzie łatwe. Elizabeth postanowiła trwać w swojej złości.

- Może trochę szczypać.

Otworzył oczy. Pochylała się nad nim.

- Czy dostanę nagrodę, jeżeli nie będę płakał? - spytał, próbując zmusić ją do uśmiechu.

Wyduła usta.

- Niestety, nie wzięłam lizaków z gabinetu.

Wzdrygnął się, gdy wacikiem dotknęła skaleczenia.

- Piecze! -jęknął. - To świństwo piecze jak diabli!

- Lepiej niech trochę popiecze, niż gdybyś miał dostać zakażenia.

Ze zmarszczonym czołem patrzył, jak się prostuje, żeby wziąć z apteczki następny wacik.

- Maggie ma zwyczaj mówić to samo - mruknął. -

Czy takiego żargonu uczą was w szkołach?

Elizabeth wycisnęła na palec maść z tubki.

- Nie. Tak mawiała moja matka. Gotowy? - spytała, przykładając wacik do skaleczenia.

Szarpnął głową do tyłu i zasłonił się ręką.

- Już mi to przykładadałaś. Drugi raz na to nie pozwolę.

- Nie robiłabym tego, gdyby raz wystarczyło.

Krzywiąc się uniósł głowę.

- Więc zrób to szybko - ostrzegł. - Nie jestem wytrzymały na ból.

- Ja też nie - mruknęła pod nosem, smarując skaleczenie.

Słyszac gorycz w jej głosie, Woodrow chwycił ją za nadgarstek.

- Wiem, że słowa Rory'ego cię zraniły - powiedział spokojnie. - Ale nie było w tym ani żdźbła prawdy. To, co stało się między tobą a mną... po prostu się stało. I nie było to elementem intrygi, żeby cię skłonić do oddania dziecka.

Popatrzyła mu w oczy, jakby czegoś w nich szukała. Ale chyba tego nie znalazła, bo odwróciła wzrok.

- W torbie są bandaże - powiedziała głosem wypra-

nym z emocji. - Zamknij za sobą drzwi, kiedy będziesz wychodził.

Była już prawie w korytarzu, gdy Woodrow opamiętał się na tyle, by zareagować. Zerwał się z krzesła, podbiegł i chwycił ją za ramię.

- Elizabeth, poczekaj, proszę - błagał. Odwrócił ją i ujął w dłonie jej twarz. - Musisz mi uwierzyć. Nigdy bym nie chciał zadać ci bólu. Nigdy. Przysięgam.

Pochyliła głowę i po jego palcach spłynęły łzy, paląc mu skórę.

- Proszę, odejdz... - załkała. - Już dość się do tej pory wygłupiłam.

Oderwała jego ręce i odstąpiła o krok. Twarz miała czerwoną ze złości, z oczu płynęły łzy.

- Jestem idiotką! Wpakowałam się w romans... Nawet zgodziłam się, że nie będzie żadnych oczekiwań ani zobowiązań! - Trzęsąc się, zacisnęła pięści. - Ale zakochałam się w tobie. Wiedząc, że nasze noce nic dla ciebie nie znaczą, byłam na tyle głupia, żeby się w tobie zakochać!

Woodrow uniósł rękę.

- Ej! Chwileczkę. Jeżeli ktoś z nas dwojga okazał się głupi, to tym kimś byłem ja. - Pokręcił głową, jakby chciał oczyścić umysł, a potem przymrużył oczy i ciekawie przyjrzał się Elizabeth. - Czy ty naprawdę powiedziałaś, że mnie kochasz?

Przycisnęła rękę do ust i załkała.

- Tak. A teraz możesz już sobie iść? Proszę.

Znów pokręcił głową.

- Nie, przykro mi, ale nie mogę.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała go odepchnąć.

- Woodrow, proszę.

Wziął tę wyciągniętą rękę w obie dłonie.

- Elizabeth, mamy pewien kłopot.

Uniosła buntowniczo brodę.

- Tylko ja mam kłopot, ale sama sobie z tym poradzę.

- Nie - oświadczył. - My mamy kłopot. - Gdy otworzyła usta, by się sprzeczać, szybko dodał: - Ponieważ ja też się w tobie zakochałem, to jest nasz wspólny kłopot.

- Woodrow, ja... - zamilkła, gdy dotarły do niej jego słowa. - Właściwie co ty powiedziałeś? - szepnęła.

- O tym, że się w tobie zakochałem?

Skinęła głową, patrząc mu w oczy.

- Tak, o tym.

Uśmiechnął się, przepełniła go radość.

- Zakochałem się w tobie, chociaż nie mogę powiedzieć, kiedy dokładnie to się stało.

- Och, Woodrow! - wykrzyknęła cicho. - Przecież to żaden kłopot.

Powstrzymując ciężkie westchnienie, poprowadził ją do krzesła.

- Obawiam się, że jednak tak. - Usiadł i posadził ją sobie na kolanach. - Widzisz, nienawidzę wielkich miast, a ty mieszkasz w mieście. - Z żalem pokręcił głową. - A nie wyobrażam sobie romansu na odległość.

- Więc co proponujesz? - spytała ze smutkiem i strachem.

- Może rozważyłabyś otwarcie praktyki w Tanner's Crossing? - spytał z nadzieją. I zanim zdążyła odpowiedzieć, przyłożył jej palec do ust. - W miasteczku jest tylko jeden pediatra - pospieszył z wyjaśnieniem. - I to bliski przyjaciel rodziny, więc wiem, że mogłabyś z początku bez kłopotu pracować w jego gabinecie. Nie musiałabyś kupować i wyposażać lokalu ani nikogo zatrudniać. Mogłabyś zacząć pracę w każdej chwili. - Przerwał, wziął głębski oddech i wolno wypuścił powietrze. Patrzył na nią niespokojnie. - No? Co o tym myślisz?

Z oczami pełnymi łez objęła go za szyję.

- Myślę, że to wspomniały pomysł.

Woodrow aż osłabł z ulgi.

- Dzięki Bogu... - szepnął.

Elizabeth roześmiała się.

- Czy naprawdę życie w Dallas byłoby dla ciebie takie okropne?

Wskazał palcem swoją twarz.

- Widzisz to? A tak wyglądam po jednej jedynej nocy w mieście. Wyobraź sobie, w jakie kłopoty bym się pakował, gdybym się tu przeniósł na stałe.

Zmarszczyła czoło.

- A co się właściwie stało?

Wyciągnął nogi, sadowiac ją sobie wygodniej na kolanach.

- Napadnięto na mnie, gdy próbowałem dać pewnym łobuzom lekcję dobrych manier. Ty chyba byś to nazwała próbą dokonania obywatelskiego aresztowania.

- Obywatelskie aresztowanie - powtórzyła Elizabeth, dając do zrozumienia, że podejrzewa więcej, niż Woodrow chce wyjawić. - A ich zbrodnią była głupota.

Parsknął śmiechem.

- Głupota nie jest zbrodnią.

- Ależ jest, gdy wchodzi się w drogę Woodrowowi Tannerowi. - Ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Woodrow! - wykrzyknęła, mocno go ściskając - jak ja cię kocham!

- Dość mocno, by wystarczyło ci tej miłości na całe życie? - spytał.

Odchyliła głowę do tyłu, żeby móc na niego spojrzeć. W jego oczach zobaczyła nadzieję. Pocałowała go w usta.

- Jeszcze mocniej.

Pocałował ją tak, jakby chciał nadrobić czas, który stracili, a potem troszkę się odsunął i spojrzał na nią.

- Muszę ci coś wyznać.

Zesztywniała, słysząc powagę w jego głosie.

- Co takiego?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby Ash mnie nie przysłał.

- Och...

Woodrow złapał ją za ręce, zanim zdążyła zeskoczyć z jego kolan.

- I tak w końcu bym przyjechał - powiedział szybko.

- Ale teraz nie byłem gotowy. Ciągle jeszcze nie chciałem pozwolić, by opuścił mnie gniew.

- Twój gniew! - wykrzyknęła. - To ja czułam się wykorzystana!

- Tak - przyznał. - Ale to ty mnie opuściłaś. Nie dałaś mi nawet przywileju wątpliwości ani szansy, żebym się wytłumaczył.

Złość minęła, jej usta wykrzywiły się do płaczu.

- Och, Woodrow - szepnęła, głaszcząc go po policzku.
- Tak mi przykro. Powinnam była ci ufać. Nigdy byś mnie świadomie nie zranił. Wiem o tym.

- Naprawdę?

Uśmiechając się przez łzy, wzięła go za rękę i przycisnęła ją do serca.

- Tak. Tu, w sercu, jestem tego pewna.

Objął jej twarz i uniósł tak, by patrzeć jej w oczy.

- I tam właśnie chcę być. W twoim sercu.

- Jesteś i już zawsze będziesz.

Sięgnął do kieszeni.

- A teraz, gdy już to ustaliliśmy, mamy jeszcze coś do załatwienia.

- Co takiego? - spytała, patrząc na papiery, które wyciągnął.

- Dokumenty dla prawnika.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Przekazanie prawa do opieki - powiedziała spokojnie.

Woodrow odgadł, że zastanawia się, czy przyjechał tu wyłącznie z powodu tych dokumentów. Wziął je w obie ręce i jednym stanowczym ruchem przedarł od góry do dołu.

- Woodrow! - wykrzyknęła Elizabeth. - Co ty robisz?

Rzucił papiery w powietrze.

- Teraz są nieważne. Ash wpisał tu ciebie jako ciotkę Laury, ale gdy się pobierzemy, będziesz jej przyrodnią siostrą.

Z zaskoczenia aż otworzyła usta.

- Och - szepnęła. - To mi nie przyszło do głowy. - Przez chwilę przyzwyczajala się do tej myśli. Potem położyła rękę na piersi Woodrowa, w oczach stanęły jej łzy. - Kiedy mi powiedziałaś, że Renee nie żyje, pomyślałam, że już nie został mi nikt z rodziny. Ale tak nie jest.

Patrzac na nią czule, Woodrow pocałował ją w rękę.

- Tak. Od teraz twoja rodzina będzie tak liczna, że czasami będziesz miała dosyć. Nas jest pięciu braci, i właśnie zaczęliśmy tworzyć nowe pokolenie. Wyobraź sobie te Boże Narodzenia za kilka lat. Wszędzie będzie się aż roiło od dzieci.

Elizabeth przytuliła się do niego z westchnieniem.

- Czy niektóre z tych dzieci będą nasze?

- Pewnie, że tak. Przynajmniej dwoje, może nawet troje, jeżeli wkrótce się do tego zabierzemy.

Elizabeth uniosła głowę i z miłością na niego spojrzała.

- No to może od razu? - szepnęła.

EPILOG

Wrzesień był wyjątkowo ciepły, ale w październiku w powietrzu wyczuwało się już nutę chłodu, zapowiadającą nadejście zimy. Wiatr jęczał w gałęziach drzew, gdy przyszli na cmentarz, do kwatery, gdzie spoczywały cztery pokolenia Tannerów.

Stojąc przy świeżo usypanym grobie, Elizabeth objęła Woodrowa w pasie.

- Dziękuję ci - powiedziała. - To wiele dla mnie znaczy, że Renee jest tak blisko.

- Ojciec, niezależnie czy tego chciał, czy nie, wprowadził ją do rodziny. Powinna więc być tu pochowana.

To, że tak łatwo przyjął jej siostrę do ich grona, chociaż przecież nawet jej nie znał, a do tego nie obwinił jej za rolę, jaką odegrała w życiu jego ojca, głęboko wzruszyło Elizabeth. Uśmiechnęła się do niego.

- Woodrow, jesteś dobrym człowiekiem.

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Tego bym nie powiedział, ale z całą pewnością trafiła mi się dobra kobieta.

Nagle usłyszeli jakiś dziwny dźwięk.

- Co to było? - spytała Elizabeth.

- Ash uderza w gong. Kiedy byliśmy mali, zwoływał nas w ten sposób wieczorem na kolację. - Objął ją za ramiona i zawrócił w stronę domu. - Chyba daje nam znać, że czas zaczynać przyjęcie.

- Wygląda na to, że wszyscy już są - zauważyła, wskazując palcem patio. - Rory, Whit. I Dixie! - krzyknęła, rozpoznając po ognistych włosach byłą szefową Maggie i Renee. - A mówiliście, że to wyłącznie rodzinna ceremonia?

Wzruszył ramionami.

- Ona należy do rodziny. To nie pokrewieństwo jest ważne - dodał, cytując Dixie - lecz to, co jest tutaj. - Zatrzymał się, splótł jej palce ze swoimi i przyciągnął jej rękę do serca. - Nie masz nic przeciwko temu, że ją też zaprosiłem?

Gdyby to było możliwe, za te słowa Elizabeth pokochałaby go jeszcze mocniej. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Oczywiście, że nie. Ona powinna tu być.

Trzymając ją za rękę, Woodrow ruszył do domu. Nagle parsknął śmiechem.

- Spójrz tylko. Rory ma jakąś pretensję do Reese' a. Za pięć minut będą walczyć na pięści.

Elizabeth pokręciła głową.

- Nie rozumiem was. Przecież wszyscy się kochacie, a tak uwielbiacie się bić.

Woodrow zachichotał.

- Musiałabyś być mężczyzną, żeby to zrozumieć.

Elizabeth zwolniła, aż wreszcie całkiem się zatrzymała.

- Co się stało? - spytał Woodrow.
- Martwię się o Reese'a.
- Dlaczego? Całkiem dobrze mu się wiedzie.

Zagryzła usta i popatrzyła w kierunku patia. Reese stał tam ze szklanką w ręku i rozmawiał z Rorym.

- Wydaje się taki nieszczęśliwy - powiedziała w zamysleniu. - Z początku myślałam, że te napady złego humoru spowodowane są tym, że właśnie się rozwodzi. Ale chyba jest w tym coś więcej.

Woodrow objął ją za ramiona i pociągnął do domu.

- Za dużo się martwisz. Nic mu nie będzie.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Elizabeth, chociaż obawiała się, że to coś poważniejszego, niż sądzi Woodrow.

- No, nareszcie przyszli! - zawołał Ash. - Niech ktoś otworzy szampana!

Elizabeth i Woodrowa otoczyła rodzina, wszyscy mówili się i śmiali jednocześnie, świętując początek ich nowego życia.